Nr. 44. Warszawa, dnia 1 Listopada (20 Października) 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

MOLTKE.

Czy para miele mąkę lub wyrabia tkaniny, czy też rozrywa kocioł i zabija ludzi, zawsze jest ona potęgą siłą. Podobnie rzecz się ma z geniuszem ludzkim: czy on stwarza, czy niszczy — w każdym razie moc swą okazuje. Nawet nie mając sympatyi dla wielkich wodzów, rozbijających państwa i narody w celach zaborczych, musimy mieć dla nich podziw. Na to uczucie zasłużył niewątpliwie generał Moltke, pogromca Austryi i Francyi, sprawca olśniewających tryumfów oręża niemieckiego. Jest to postać niezwykła i dziwna. Żołnierz do szpiku zachował pod mundurem serce czułe, a pod pikelhaubą rozum głęboki. Jest to humanista— który umiał zaścielać pola bitew obficie trupami, filozof — który nie może wyobrazić sobie pochodu dziejów bez wojska. W przygotowaniu dwu świetnych kampanij przełamał dotychczasowy dogmat strategiki, wymagający od armii niewolniczych poruszeń machiny według drobiazgowej i skoncentrowanej komendy; poprzestawał bowiem na skreśleniu ogólnego planu, pozostawiając dowódcom samodzielność wykonania. Wyniki dowiodły słuszności tej zasady znakomicie. Moltke rozgromił dwa potężne państwa.

Wdzięczni rodacy podzielili między niego i Bismarka chwałę tych wypraw. Nie będziemy tu odważali, ile każdemu z nich się należy; zauważymy tylko, że nigdy dotąd los nie postawił obok siebie i nie związał wspólną pracą dwu ludzi tak różnych, tak wyłączających się wzajemnie właściwościami swych charakterów. Bismark dyplomata nie rozstawał się nigdy z mundurem wojskowym; Moltke generał był zamyślonym o uszczęśliwieniu ludzkości filozofem. Bismark pragnął władzą swoją przeniknąć do najdrobniejszego urzędu; Moltke usiłował w najniższym oficerze wywołać samodzielność. Bismark chciał ciągle z całym światem wojować; Moltke po rozegraniu walnych bitew żyć z wszystkimi w pokoju. Bismarka nienawidziły miliony ludzi; Moltkego nikt. Bismark łaknął zaszczytów i hołdów; Moltke ich unikał aż do dziwactwa. Bismark nietylko przyjął od cesarza po wojnie francuskiej dobra i pieniądze, ale nawet ze składki narodowej kazał sobie wypłacić 1½ miliona marek; Moltkemu nie ośmielonoby się nic ofiarować. Bismark wywracał i nicował etykę na wszystkie strony; Moltke był ciągle — według Laskera — „czystym jak dziecko.“ Bismark, występując w sejmie, uważał posłów za nieprzyjaciół, których chciał pokonać; Moltke traktował ich jak przyjaciół, których chciał przekonać. Bismark zawsze mówił długo, gorączkowo i osobiście; Moltke— krótko, spokojnie i przedmiotowo. Bismark musiał być siłą wyparty ze swego stanowiska, gdy się przestarzał; Moltke sam się usunął, gdy spostrzegł, że „nie może jeździć konno.“ Bismark, ustąpiwszy, rozpoczął buntowniczą walkę z monarchą i rządem; Moltke stanął na uboczu skromny i dobrą wolą przejęty.

Skromność tego człowieka jest bajeczną. Wszelkie hołdy — jak sam wyznał — sprawiają mu instynktową odrazę. Biuro sejmu niemieckiego wydaje książkę, zawierającą życiorysy posłów, pisane przez nich samych. Autobiografie te są dość obszerne, a nieraz tak szczegółowe, że autorowie wprowadzają do nich nawet swe połowice. Najkrótszą jest notatka Moltkego, a brzmi ona tak:

„Hr. v. Moltke Helmuth, feldmarszałek, Berlin, Königsplatz 7. Okrąg wyborczy Królewiec I (Memel-Heydekrug). Partya konserwatywna. Ur. 26 października 1800 r. w Parchimie, Meklemburg: ewangielik. Korpus kadetów, Akademia wojskowa. Zawód żołnierski. Wyprawy 1864, 1866, 1870—71.“

Ani słowa więcej.

O ile mógł, wymykał się zawsze z Berlina na dnie pamiątkowe, ażeby uniknąć powinszowań i owacyj. Tem łatwiej mógł dogadzać swemu upodobaniu, gdy opuściwszy naczelnictwo sztabu głównego, rozpoczął życie na pół prywatne w dobrach swoich na Szlązku. Cesarz wszakże bądź dla uczczenia ważnej chwili, bądź dla przeciwstawienia bohatera skromnego bohaterowi rozdętemu pychą, sprowadził Moltkego do Berlina i zmusił go do przyjęcia hołdów w dniu 90-ej rocznicy jego urodzin. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi uczestniczyło w pochodzie uroczystym, który przeciągnął w malowniczych grupach przed mieszkaniem rozrzewnionego, ale ciągle spokojnego starca, przypomniano jego zasługi w pieśniach i mowach, zniesiono mu z pokłonem wszystkie sztandary wojskowe. Niezmiernie znamienne i odzwierciedlające charakter były wszystkie jego odpowiedzi. Tak np. wysłuchawszy przemowy prezesa komitetu uroczystości, odrzekł:

„Usposobienie obywatelstwa, które użyczyło panu słów tak wymownych, przejmuje mnie dumą i radością. Potężny wzrost Berlina datuje się od chwili odbudowania cesarstwa niemieckiego, które jest wielkiem dziełem naszego wielkiego cesarza Wilhelma. Jeżeli i mnie przypisujecie łaskawie udział w tych tryumfach, to nie mogę zapomnieć o dzielnych żołnierzach, którzy wierność dla ojczyzny stwierdzili swoją śmiercią. Chciałbym wszystkim współobywatelom serdecznie podziękować za świetny objaw ich życzliwości.“

Na poetyczne pozdrowienie Germanii (panny Wagener) odpowiedział:

„Germania, którą pani tak pięknie wyobrażasz, może być dumną ze swojej stolicy, w której jedna myśl patryotyczna wystarcza do zgromadzenia obywateli. Przyjmuję ten hołd dla Germanii, dla narodu niemieckiego,“

Zawsze siebie stawia na ostatnim planie. Ale ta szczera skromność jeszcze bardziej ujmuje wszystkich dla człowieka, który ma prawo do wielkiej wyniosłości. To też cesarz, wręczając mu nową buławę, odezwał się do niego ze szczególną czcią i uznaniem.

„Zaszczyty, którymi obdarzył cię mój dziad, nie pozostawiły mi nic do ofiarowania, prócz

wdzięczności. Przyjmij ten jedyny hołd, jaki w moich młodych latach złożyć ci mogę. Zrzekam się z dumą na dzień dzisiejszy przywileju monarszego, który mi pozwala sztandary armii przy sobie trzymać; niech u ciebie pozostaną przez dziś te poszarpane chorągwie, które na polach bitew powiewały nad twoją głową.“

Wszyscy dostojnicy państwa byli świadkami tego hołdu, prócz — Bismarka. Obu tych ludzi historya osądzi, ale już dziś można być pewnym, że wielkość charakteru przyzna tylko Moltkemu.

ZJAZD W HALLI

(12—17 października).

Zjazd w Halli, który chwilowo przykuł do siebie uwagę powszechną, należy już do przeszłości. W naszej prasie pozostawił on dotychczas po sobie wiele — fałszów. Mniejsza jednak o to. Zostawiając w spokoju zarówno naszych swojskich fałszerzów z niewiadomości, jak i celowych podrabiaczów, zajmiemy się zupełnie przedmiotowem zdaniem sprawy z przebiegu i obrad kongresu. Zauważymy naprzód, że rozrost ruchu, jeśli zawierzyć sprawozdaniom urzędowym partyi, omylił wszelkie oczekiwania. Można było przypuszczać, że demokracya społeczna jest silną, ale rzeczywistość przewyższyła przypuszczenia. Mówiąc to, mamy głównie na widoku rozmiary prasy partyjnej w ostatnich miesiącach prawa wyjątkowego. Otóż we wrześniu istniało 104 czasopism tej barwy z 600,000 prenumeratorów! W tej liczbie było 19 gazet codziennych, posiadających razem około 120 tysięcy abonentów; prasa zawodowa liczy 41 pism, z pośród których np. organ związku górniczego rozchodził się w 27,000 egzemplarzy, a wszystkie one pospołu mają 201 tys. przedpłatników. Dwa pisma humorystyczne drukują się w 107 tys.!.. Do kasy partyjnej z obowiązkowych składek od członków wpływało w ostatnich czasach około 380 tysięcy marek rocznie. Lecz kiedy w szczegółowem oświetleniu sprawozdań zjazdu rozmiary ruchu uległy spotęgowaniu, natomiast znaczenie opozycyi zmalało niepomiernie. Dzisiaj śmiało można powiedzieć, że spór nader małoważny i nadewszystko mocno osobisty, wskutek chwilowego rozdrażnienia, a jeszcze więcej dzięki plotkarstwu usłużnych organów mieszczańskich, rozdmuchano do niebywałej wielkości. Naprzód na zjeździe, o ile zabierała ona głos (mianowicie przedstawiciele Hamburga), nie wyglądała wcale na opozycyę zasadniczą, ale tylko na grupę, żądającą niektórych wyjaśnień w tej lub innej sprawie. Sam Schippel był jednym z sekretarzów zjazdu. Nawet jedynemu, wyraźnie jedynemu, gwałtowniejszemu i zasadniczemu opozycyoniście, Wernerowi z Berlina, dano zupełną swobodę słowa. Chodziło głównie o zachowanie się frakcyi parlamentarnej wobec 1 maja, a powtóre o przeniewierzenie się uchwale S. Galleńskiej (1887) i polecenie wbrew jej brzmieniu, aby przy powtórnych wyborach oddawano głosy postępowcom lub członkom stronnictwa ludowego. Zwłaszcza co do 1 maja wyszły na jaw ciekawe fakty. W Chemnitz np., jednym z najradykalniejszych okręgów, poddawano sprawę świętowania majowego pod uznanie „towarzyszów,“ i przepadło ono tutaj $^2/_3$ ogółu głosów! Zaniechanie więc bezrobocia było dla partyi koniecznością, zwłaszcza w oddalonych, a drobnych ogniskach przemysłowych. Sprawa wyborów wygląda jeszcze bardziej błaho. Ale do tych różnic przyłączyły się urazy osobiste i zaogniły niezgodę. Bardziej zasadniczem jest stanowisko Wernera i kilku innych przeciw parlamentaryzmowi. W jego rozumieniu należy wychowywać i kształcić masy, lecz tego niepodobna osiągnąć wykazywaniem zalet prawodawstwa fabrycznego lub występowaniem przeciw cłom, na tej zasadzie że podnoszą one cenę towaru. Raczej należałoby w parlamencie wskazywać, że źródło złego spoczywa w gospodarce prywatnej, a politykę celną, odrzucać, ponieważ wolny handel sprzyja bardziej pęknięciu wrzodu kapitalistycznego. Zdaje się, że jest to najważniejszy teoretyczny punkt opozycyi, którą Engels nazwał żartobliwie *Studenten und Literatenrevolte*. Lecz jeśli takie stanowisko jest dobre, kiedy powstają pierwsze kadry partyjne, a związane warunkami politycznemi ręce muszą spoczywać bezczynnie (dawne poglądy Marxa na wolny handel), staje się ono niekiedy zbytecznem, gdy partya wzrośnie w siłę i może postawić, a co więcej przeprowadzić pewne żądania praktyczne. Słowem, „spokojny“ i „gwałtowny“ odłamy demokracyi społecznej wyosobniły się nie umiarkowaniem lub radykalizmem teoretycznych i nawet praktycznych planów i celów, ale tylko różnicami taktyki i temperamentu. Być może tkwi pod tem wszystkiem — jak zauważył w polemice swojej Engels — antagonizm między lewem skrzydłem partyi, najmiekiem, a prawem drobnomieszczańskiem, ale sam rozwój kapitalistyczny, zmieniając drobnomieszczan w najmitów, wyrówna różnice, i rokoszanie, pamiętając o tem, nie powinni dezorganizować partyi. Takiem też było stanowisko opozycyi hamburskiej.

W zasadniczych poglądach oba odłamy są zgodne, i demokracya społeczna jest wciąż jedną i niepodzielną, co więcej, jak wyraził się jeden z najwybitniejszych przywódców, w ciągu lat 12 prawa kagańcowego nie zapomniała ona nic a nic z swoich dawnych idej, chociaż nauczyła się wiele, jak należy działać i postępować. A zatem po dawnemu stoi na stanowisku międzynarodowem, w imię którego protestowała przeciw zaborom alzackim i szlezwickim. O tem przekonać mogły już hasła i daty historyczne, wypisane na ścianie. Liebknecht zagaja zjazd okrzykiem na cześć międzynarodowej łączności, później zaś podaje wniosek treści następującej: „Dzień 1 maja ma być raz na zawsze uważany za święto ogólno-najmickie i, zgodnie z uchwałą międzynarodowego zjazdu paryskiego, obchodzony uroczyście w sposób, na jaki pozwalają stosunki krajowe. Jeżeli świętowaniu stoją na przeszkodzie jakieś ważne względy, to uroczystości, obchody itd. winny odbyć się w pierwszą niedzielę majową.“ Domela-Niewenhuis z Holandyi mówi, że niema na zjeździe ani belgów i holendrów, ani też niemców, lecz są tylko demokraci społeczni i że powinni oni być międzynarodowcami, albo przestaną być demokratami społecznymi. Guesde z Paryża rozwija w mowie swojej szeroki widnokręgi braterstwa, nazywając swoją ojczyzną świat cały, a celem — ludzkość. Podobnie działo się i z innemi kwestyami. Widocznie, jakby przeczuwając, że tu i owdzie drobnomieszczańscy ideologowie mogą podszyć się ze swoją obórką chłopską pod cudzą nazwę, wniesiono projekt, aby partya nazywała się nadal demokracyą społeczną *robotniczą*, gdyż „tylko od najmitów oczekujemy urzeczywistnienia naszych idej.“ (Liebknecht). Kiedy podczas rozpraw o rozszerzaniu działalności na najmitów wiejskich i o założeniu dla nich pisma, potrącono o to, że dotychczas niema społeczno-demokratycznych chłopów i że w dalszej przyszłości należałoby też wśród nich rozpocząć działalność, zawyrokowano, że nawet w tym razie nie wolno zrzekać się haseł kolektywizmu i co zatem idzie, uka-

---

TRZECI ROBER.

Julek, skończywszy politechnikę, zaczął starać się o otrzymanie najskromniejszego choćby zajęcia. Kilka dni z rzędu chodził do dyrektora jednej z większych fabryk, Straszewskiego, z listem polecającym od wuja, u którego raz do roku, w dzień św. Antoniego, dyrektor bywał na partyjce winta; zawsze jednak od służącego, który mu otwierał drzwi, słyszał: „pana niema w domu“; „pan śpi“; albo „pan nie przyjmuje...“

Raz wreszcie pan kazał prosić.

Julek z bijącem sercem wszedł do ciemnego, kotarami i lambrekinami zawieszonego gabinetu.

Straszewski, spojrzawszy w stronę drzwi, kiwnął głową niedbale. Końcami palców ujął podany przez młodego człowieka bilecik i przejrzał go zaledwie do połowy, rzuciwszy wzrokiem na podpis.

Odwrócony twarzą do okna, tak, że siedzący w cieniu za biurkiem Julek tylko profil jego mógł widzieć, bąknął przez zęby:

— Bardzo mi przykro, że muszę odmówić pańskiemu wujaszkowi; chciałbym spełnić jego życzenie, ale nawet dla niego posady nie stworzę. Takich listów, jak ten — tu stuknął palcami po rozłożonym arkusiku papieru, który trzymał w ręce — odbieram po dziesięć dziennie.

Zadzwonił na lokaja.

— Jest tam jeszcze kto więcej do mnie? — zapytał.

— Niema nikogo — brzmiała odpowiedź.

Julek wstał, skłonił się niezręcznie, uczuł bowiem nagły zawrót głowy, i wyszedł.

Straszewski, zajęty świeżym gatunkiem cygara, jakie właśnie zapalał, spojrzał za odchodzącym i kiwnął mu głową dopiero wtedy, gdy ten już był przy drzwiach.

Nazajutrz po południu wuj Julka, pan Antoni, ubrawszy się w świąteczny tużurek, sam podążył do ex-kolegi szkolnego.

Lokaj, otwierając drzwi, już miał na ustach słowa: „pan nie przyjmuje“ — gdy Straszewski usłyszawszy głos pana Antoniego, sam wyszedł do niego.

— Jak się masz Antosiu? — zawołał, witając towarzysza szkolnej ławy i prowadząc go do gabinetu. Dawnośmy się już nie widzieli! Usiądź, proszę.

Wskazał gościowi miejsce na perskiej otomanie w głębi pokoju. Usiadłszy obok niego, ziewnął parę razy, przed kilkoma minutami bowiem rozbudził się z zwykłej poobiedniej drzemki; w końcu rzekł:

— Tak rzadko przypominasz sobie o mnie, że chyba gwałtowny interes sprowadza cię w moje progi?

— Nie mylisz się — odparł pan Antoni. Wczoraj był tu u ciebie — u kolegi — dodał, poprawiając się — mój siostrzeniec. Przysłałem go, aby się sam sprezentował: zdolny, dobry i pracowity chłopak. Chciałbym za waszem pośrednictwem wyrobić mu jakiekolwiek zajęcie: bardzo potrzebuje pracy i tego, co ona za sobą przynosi... Gdybyście tylko mieli dobrą wolę...

Straszewski przy pierwszych słowach pana Antoniego zerwał się z krzesła i biegając po pokoju z rękami w tył założonemi, słuchał czas jakiś; ostatnie jednak zdanie przerwał koledze, odzywając się krótko, ze zniecierpliwieniem w głosie:

— Mój kochany, służysz sam; wiesz przecież, że posady nie wyrastają, jak grzyby po deszczu. Żądasz ode mnie niemożliwości. Tylu ludzi męczy mnie codzień o protekcyę! Nie czytam nawet próśb, które składają na moje ręce. Głowa by pękła, gdyby człowiek chciał się przejmować wszystkiem. Brat poleca brata, ojciec syna, wujaszek siostrzeńca: zlitujcież się! Toć nie mam kantoru stręczenia robót!..

zywać mamidła drobnej osady *). Co więcej zerwano stanowczo z ostatniemi tradycyami lasalczyków, wyrzucając z programu wymaganie od państwa pomocy finansowej dla stowarzyszeń wytwórczych, ponieważ one są w dzisiejszym rozwoju ekonomicznym wprost niemożliwe, a samo żądanie zdradza wiarę, że państwo stoi po nad walką klasową. Zresztą dużo mówiono o programie, który, zreformowany odpowiednio, poddanym zostanie na przyszłym zjeździe do zatwierdzenia.

Warto zaznaczyć wypowiedziane przy tem poglądy. „Napróżno poszukiwalibyśmy doskonałego programu; niema go bowiem. Nauka wciąż rozwija się. Równie niema skończonego całokształtu wymagań. Narazilibyśmy się na śmieszność, gdybyśmy uwierzyli w taką ostateczność i skończoność rozwoju. Stwórzmy program, który stałby na wysokości wiedzy i jeśli ta ostatnia uczyni krok dalej, zmieńmy go. Wszak jesteśmy wiecznymi malkontentami!.. Zastój jest dla nas śmiercią. Jeśli opuścimy grunt wciąż postępującej wiedzy, jesteśmy straceni, tymczasem oparci o wiedzę będziemy niezwyciężeni i zgnieciemy wrogów. Spotkaliśmy zarzut, że w sprawozdaniu programowem nie zrobiono najmniejszej wzmianki o przyszłym ustroju. Póki partya była młodą i stała na gruncie nauki, lecz miała się do dzisiejszego ruchu, jak alchemia do chemii, zajmowała się gorliwie tem pytaniem, i kwestya, kto będzie w przyszłości czyścił buty i zamiatał ulice, nastręczała mnóstwo trudności. Dzisiaj wykpionoby takie rozprawy. Rzeczywistość przewyższa najśmielsze żądania. Czy osoby domagające się odmalowania przyszłości, mogą przedstawić w swoim umyśle chociażby obraz teraźniejszości społecznej? A jak ta ostatnia będzie wyglądała za lat 10? Niech one odpowiedzą przedewszystkiem na to! I jakiem prawem żądają od nas, abyśmy skreślali, jak wyglądać będzie ustrój, wśród długiego rozwoju wykluwający się zwolna! Społeczeństwo tegoczesne przekształca się zwolna na społeczno-demokratyczne i z tego powodu niepodobna przeprowadzić ściślej granicy pomiędzy niemi. Nowy program winien oddychać całym duchem partyi, która wie, że powstała nie z przypadku, ale z konieczności procesu rozwojowego. Lecz nam nie wolno pozostać jedynie prostymi widzami tego, jak on gotuje na swoim ogniu zupę społeczno-demokratyczną. Nie, człowiek musi działać, ale nie doryweczo i samowolnie, lecz czynnie i świadomie. Na tem polega nasze materyalistyczne pojmowanie dziejów!" Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad teoretycznymi poglądami, ponieważ one są kluczem do zrozumienia społeczno-demokratycznej partyi. Między innemi rozprawiano o rozszerzeniu programu odnośnie kwestyi kobiecej. Zauważymy, że po zawładnięciu umysłami męzkiej części najmictwa miejskiego demokracya społeczna zabiera się teraz z kolei do żeńskiej połowy. Podniesiono potrzebę, aby program zawierał żądanie praw politycznych, w tej liczbie powszechnego głosowania dla kobiet, a nadto nie ścieśniania pracy pozadomowej. Żądano też prawodawczego zrównania zarobków obu płci w tym samym fachu, chociaż przeciwko temu ukazał się charakterystyczny, a przeciwny wniosek od piątego berlińskiego okręgu wyborczego, że to uniemożliwi kobietom zarobkowanie i zagrzebie je w gospodarstwie domowem. Wiele też rozpraw wywołała kwestya religijna. Szło o to, jak partya ma zachowywać się względem wyznania swoich członków i czy powinna wymagać od nich występowania z odpowiednich kościołów. Większość zabierających głos oświadczyła, że demokracya społeczna stoi na gruncie wolnomyślnym i wierzy, że nauka usunie pierwotną metafizykę, lecz jednocześnie stanowczo sądzi, że z partyi nie należy czynić laboratoryum dla wyrabiania wolnomyślicieli. Można to zostawić klerowi, który nieomieszka odciągać wierzącego społeczno-demokratę i swojemi usiłowaniami odstrychnie go tylko ostatecznie od siebie, oraz nauce, która rozjaśni ludziom w głowie. Natomiast należy nie dopuścić, aby wyznanie stało się orężem panowania klasowego; tego można dopiąć tylko przez oddzielenie kościoła od państwa i wyzwolenie szkoły z pod odpowiednich wpływów. Słowem, religia winna stać się sprawą prywatną obywateli, podobnie jak utrzymywanie kultu.

Są to ważniejsze kwestye ogólne, rozpatrywane na zjeździe. Wybrana komisya ma według tych zasad rozszerzyć i uzupełnić program i przedstawić go przyszłorocznemu zjazdowi. Mówiono też o rozszerzeniu programu w zakresie żądań pozytywno-ekonomicznych. Postanowiono mianowicie za pośrednictwem grupy parlamentarnej domagać się reform, polepszających byt warstwy najmickiej w dzisiejszem społeczeństwie i wzmacniających jej zdrowie i umysł. Zbyteczna nadmieniać, że owe żądania będą głównie tylko podkupywaniem pozytywnej polityki społecznej rządu. Tak np. wobec zamiarów prawodawstwa fabrycznego postanowiono wymagać między innemi dodania punktów, aby pracodawca, który w jakikolwiek sposób będzie występował przeciw stowarzyszaniu i związkom najmickim, ulegał karze sądowej, a w przeciwstawieniu do emerytur państwowych itd. zaprojektowano następujące żądanie: „Na państwie spoczywa obowiązek zapewnienia wszystkim, będącym bez zarobku, utrzymania, które odpowiadałoby wymaganiom dzisiejszej kultury, lecz ta pomoc nie może pociągać za sobą jakiejś utraty praw politycznych." Domagano się upaństwowienia pomocy lekarskiej i adwokackiej oraz aptek; ustosunkowanego przedstawicielstwa, zupełnej swobody koalicyi itd.

Następnie dużo czasu poświęcono załatwieniu spraw organizacyjno-partyjnych i najważniejszym zagadnieniom praktycznym dnia jutrzejszego. Przedewszystkiem uznano konieczność bezroboci i „bojkotowania," jako środków samoobrony najmickiej, lecz aby one były skuteczne, zalecono organizowanie związków ogólno-krajowych zawodowych i odpowiedniej prasy, tem bardziej, że tego rodzaju koła są jeszcze najlepszą szkółką agitacyjną nawet dla natur najbardziej filisterskich. Zresztą wkrótce ma odbyć się zjazd związków zawodowych, na którym odnośne sprawy będą drobiazgowiej poruszone. Następnie wyznaczono te istniejące w społeczeństwie grupy, do zjednania których demokracya społeczna powinna przystąpić. Z jednej strony jest to robotnica miejska, z drugiej—najmita wiejski (podajemy nazwę w oryginale: *Landarbeiter*). Postanowiono utworzyć dla nich specyalne organy. Zwłaszcza podniesiono kwestyę robotników wiejskich, przytem zawadzono mimochodem i o chłopów, jako o grupę, na którą wartoby kiedyś z czasem oddziaływać. Zaznaczono trudności wpływania na żywioły wiejskie i konieczność ogłoszenia dla najmitów rolnych jakichś odpowiednich haseł praktycznych, przyczem jasno oświadczono się przeciw ideałom drobnomieszczańskim. Na dzisiaj znaleziono dwie takie sprawy, bardzo różne od własnego zagonu i własnej obórki. Naprzód istnieje w Niemczech tak zwana ustawa czeladnia (Gesindeordnung), która dotyczy mężczyzn i kobiet, dzieci i dorosłych, pracujących w gospodarstwach rolnych, leśnych, rybactwie, flisactwie ogrodnictwie, przewozie, wreszcie obowiązuje

*) „Bei der bevorstehenden Landagitation werden wir nicht davon zurückscheüen, mit dieser Forderung (kolektywnej gospodarki rolnej) aufzutreten" — energicznie wyraził się Liebknecht.

Pan Antoni chrząknął, przygotowując się do dłuższej mówki. Straszewski, spojrzawszy na niego, przeczuł to. Usiadł przy nim, położył rękę na jego ramieniu i spokojniej, aniżeli przedtem, dorzucił:

— Daremna twoja fatyga: nie sil się na frazesy. Powtarzam raz jeszcze: posad nie stwarzam. Twój siostrzeniec może czas jakiś obznajmiać się z robotami w fabryce, to mu ułatwię. Na płatne zajęcie jednak niech czeka. Postaram się pamiętać o nim, dużo jednak nie obiecuję...

Drugi rok mijał. Julek, zrazu pełen dobrych nadziei, pod koniec zaczął się niecierpliwić, figurując na urzędowej liście fabrycznej zawsze tylko jako kandydat do posady.

Kilkakrotnie pan Antoni kołatał do kolegi dyrektora; ten jednakże odpowiadał za każdym razem:

— Niech czeka, niech czeka!..

Zbliżało się lato, a z niem — i uroczystość imienin pana Antoniego, w którym to dniu — od czasu skończenia szkół — kilku kolegów, niegdyś najbliżej z sobą żyjących, a pozostałych w mieście, zbierało się u solenizanta na tradycyjną partyjkę preferansa lub winta.

Straszewski, spotkawszy pana Antoniego na parę tygodni przed trzynastym czerwca, przypomniał:

— A nasz wint? Zbierzemy się, zbierzemy! Pietraszewski i Badyński wyjechali wprawdzie, ale Hartman i Biedrzycki będą na pewno. Punkt ósma. Do widzenia!

Nadszedł trzynasty. Straszewski i Biedrzycki stawili się rzeczywiście o punkt ósmej. W kwadrans przyszedł list od Hartmana, w którym ten doniósł, iż skutkiem nagłej choroby żony przybyć nie może.

Straszewski, poprawiając okulary, mówił: „to źle, to szkoda." Biedrzycki kiwał głową na znak zupełnej aprobaty słów kolegi. Pan Antoni stał nad rozłożonym stolikiem, wpatrzony w zielone sukno i w świeżuteńkie talie kart, przygotowane do gry.

— Co tu począć? — pytał sam siebie; tak zabić cały długi wieczór we trzech tylko, z kolegami, z którymi widywał się zaledwie parę razy do roku, z których każdy miał odrębne stosunki i odrębne interesy, których dziś łączyła tylko nić wspomnień, sztucznie nawiązana na nowo. O czem mówić? Co robić?

Podczas gdy gospodarz domu rozmyślał, a Straszewski i Biedrzycki ze zniecierpliwieniem oczekiwali jakiegoś postanowienia z jego strony, cichutko, nieznacznie wsunęła się do gabinetu żona pana Antoniego, pani Felicya.

Powitawszy gości, rzekła do męża:

— Julek przyszedł; może on mógłby zagrać z panami?

— A któż to taki ten Julek? — zagadnął Straszewski.

— Nasz siostrzeniec — odpowiedziała pani Felicya. Ten, za którym mąż mój tyle razy prosił pana dyrektora...

— Nie bardzo go sobie przypominam — odparł Straszewski.

— A dlaczegóżby on nie miał zagrać z nami? — dorzucił następnie.

— Naturalnie, dlaczegóżby nie miał zagrać? — powtórzył za nim Biedrzycki.

— No, to niech przyjdzie — rzekł pan Antoni, zwracając się do żony.

Julek wszedł, wprowadzony ostentacyjnie przez ciotkę.

Od pierwszego zaraz wejrzenia wydał się dyrektorowi bardzo sympatycznym, miłym i dobrze wychowanym młodym człowiekiem.

Podał mu rękę uprzejmie.

— No, że ja go sobie też przypomnieć nie mogłem! — rzekł, zwracając się do pana Antoniego.

Rozebrano karty. Partnerzy zajęli miejsca. Pierwszą grę miał Straszewski z panem Antonim, a Julek z Biedrzyckim.

Julkowi sprzyjało szczęście. Pierwszego robra wygrał ze stu, drugiego — zasiadłszy na zmianę z wujaszkiem — ze stu pięćdziesięciu...

też służbę domową. Grupy te podlegają mianowicie poszczególnym przepisom różnym w każdym kraju, a dozwalającym niekiedy na chłostę i na wtrącanie się władz policyjnych. Postanowiono więc żądać zniesienia tych ustaw i zaprowadzenie innej, ogólno-państwowej, któraby urównoprawniła czeladź z innemi grupami najmickiemi. W dalszym ciągu przyjęto żądanie zniesienia wypłaty zarobków wiejskich w naturze, jak to trzymają się różne folwarki i gospodarstwa, a zaprowadzenia pieniężnej. Wreszcie zgodzono się oddziaływać na wzrost ruchu w Poznańskiem i Lotaryngii za pomocą odpowiednich środków (pism w językach miejscowych).

Zjazd liczył 400 zgórą delegatów. W tej liczbie kilka kobiet od najmitek i paru przedstawicieli parobków wiejskich. Nadto przybyło wielu delegatów z zagranicy. Jak widzimy, po za kwestyami organizacyjno-partyjnemi wszystko obracało się nie tyle dokoła „pozytywnych“ żądań ekonomicznych, lecz wymagań natury politycznej, organizowania tłumów najmickich i pobudzania świadomości klasowej za pomocą odpowiednich haseł.

K. R. Żywicki.

Z AUSTRYI.

Pogłoska o dymisyi hr. Taaffego. — Cyncynat polski. — Polityka a giełda.

W chwili, w której zebrał się sejm czeski, aby pogrzebać ugodę, gruchnęła wieść, że hr. Taaffe podać się ma do dymisyi; a nabrała ona pewnego prawdopodobieństwa dla kół szerszych, kiedy *Pester Lloyd*, półurzędowy organ węgierski, powtórzył ją, zajmując się nawet kwestyą, kto objąć ma spadek. Oto rozumowanie gazety węgierskiej: stosownie do dualistycznego ustroju państwa, w Przedlitawii jedna narodowość musi rządzić; niechaj będzie nią niemiecka. Czując zaś, że przejście rządu w ręce niemców byłoby na razie zbyt rażące, proponuje utworzenie okresu przejściowego i powołanie prezydenta ministrów z rzędu posłów polskich. Dajcie nam polskiego Cyncynata! — woła organ urzędowy z patosem komicznie działającym na każdego, co choćby raz zajrzał po za kulisy austryacko-węgierskiej polityki.

Artykuł *Pester Lloyda*, który powinien był sprawić wrażenie, a polaków wprawić w miły niepokój i przychylnie usposobić dla propozycyi węgrów, minął bez skutku, a przez prasę galicyjską zgodnie odpartym został. Zapoznaje on bowiem stosunki faktyczne i zamaskować pragnie operacyę zbyt przejrzystą.

Nie ulega wątpliwości, że ugoda czeska jest robotą spaczoną i że hr. Taaffe, jako jej inicyator, jest skompromitowanym. Wiadomo niemniej, że w państwach o bardziej rozwiniętem życiu konstytucyonalnem kierownik gabinetu, podjąwszy się tak doniosłej akcyi politycznej bez powodzenia, musiałby ustąpić. Lecz w Austryi dzieje się inaczej. Tu wszystko odbywa się „gemüthlicher.“ Nad chybioną próbą przechodzi się do porządku dziennego, a minister zostaje ministrem. Ten brak surowości w sprawach wewnętrznych sprzecznym może jest z estetyką polityczną, jeśli wyrazu tego użyć wolno, lecz stanowczo dobroczynnie działa i umożliwia popychanie wozu trzeszczącego groźnie. Kto wie, jakby się dziś mieli polacy i czesi, gdyby hr. Taaffe zgodził się był na dymisyę, którą tyle razy opozycya mu proponowała! Nie, słowianie przedlitawscy wiedzą, że hr. Taaffe to zawsze pół biedy; do przejścia steru w ręce słowiańskie, którym słusznie się należy, stosunki jeszcze nie dojrzały, rządy niemieckie zaś, to nowy szereg walk o zdobycze raz już poczynione. Do odegrania roli przejściowej zaś polacy się nie zniżą. Na propozycye *Pester Lloyda* odpowiedziała prasa galicyjska, że polacy nie mają ambicyi rządzenia w Austryi, byle im spokojnie rządzić pozwolono we własnym kraju.

Lecz cóż spowodowało dziennik półurzędowy, pozostający w najbliższych stosunkach z rządem węgierskim, a zatem wybornie poinformowany o zamiarach hr. Taaffego, do tak obłudnego i wrogiego wystąpienia? Jest to robota mocarzów giełdowych, którym hr. Taaffe stoi na przeszkodzie, a bezpośrednim powodem do oburzenia tych sfer jest zachowanie się prezydenta ministrów i Dunajewskiego w sprawie regulacyi waluty. Ministrowie austryaccy pojmują tę sprawę z punktu widzenia interesów państwowych; kapitaliści zaś traktują ją jako interes, na którym zarobią grubo i na którym jaknajprędzej zarobić by chcieli. Podczas gdy Taaffe i Dunajewski postępują chłodno i rozważnie, a przeprowadzenie jej zamierzają powierzyć Länderbankowi, kapitaliści wiedeńscy i peszteńscy chcieliby widzieć ją w rękach wiedeńskiej „Creditanstalt.“ *Hinc illae lacrimae.* A trzeba wiedzieć, że w Budapeszcie obecnie zgnilizna rozszerza się bardziej może, niż w Wiedniu przed wielkiem przesileniem finansowem; patryotyzm pokrywa tam spekulacye najbrudniejsze, a poczucie narodowe bynajmniej nie przeszkadza podawaniu ręki przeciwnikom polityczuym, kiedy idzie o interes. Oddawna już widziano, jak się przygotowywa sojusz kapitalistów wiedeńskich z giełdziarzami peszteńskimi: *Neue freie Presse*, niegdyś wrogo wobec węgrów usposobiona, zachwalała cywilizatorskie ich znaczenie dla słowian południowych, jęczących, jak wiadomo, w niewoli; *Pester Lloyd* zaś zaczął uznawać, że rządy w Przedlitawii należą się nie przeważającym liczebnie słowianom, lecz niemcom. „Cyncynat polski“ — to ponęta rzucona polakom, aby zapewnić sobie, jeżeli nie poparcie, to przynajmniej neutralność Koła polskiego wobec planu, który zmierza do obalenia hr. Taaffego. Na szczęście galicyanie nauczyli się, że nie należy wierzyć w bezinteresowną przyjaźń polityczną i za serdeczną propozycyę „bratanków“ grzecznie podziękują.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zapiszmy pogłoskę, nie ręcząc za jej wiarogodność: rząd pruski zgodził się w zasadzie na wybranie arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim polaka, ale „umiarkowanego“; papież zaś polecił kapitule przedstawienie nowej listy kandydatów. Tymczasem biskup wrocławski Kopp — jak donosi *Gazeta warsz.* — wydał dwa okólniki. W jednym wywołuje z użycia wprowadzony przez samego siebie przekład niemieckiego katechizmu dyecezyalnego, pod pozorem, że księża i rodzice używają go nie do wykładu religii, ale do nauki języka polskiego, a takie popieranie „interesów językowych“ *nie jest zadaniem kościoła* i podaje go w podejrzenie wobec rządu. Dostrzegł książę biskup inne jeszcze nadużycie: niech tylko niemiec umie jako tako rozmówić się po polsku, zaraz go duchowieństwo zalicza do kategoryi tych, którzy nie mogliby już z korzyścią dla siebie słuchać wykładu w języku niemieckim. Przeciwko temu pogwałceniu praw niemieczczyzny wydaje ks. Kopp stałe rozporządzenie, że dzieci dzielić trzeba na dwa oddziały: rozumiejące po niemiecku lub też nieumiejące jeszcze wyrażać się po polsku, wchodzą do niemieckiego, inne — do polskiego. Katechizacya niedzielna może być prowadzona po niemiecku albo po polsku z objaśnieniami w dru-

---

Straszewski był przegrany. Karta mu nie dopisywała, przytem z partnerami nie mógł dojść do porozumienia. Przy pierwszym robrze zaraz wpadł w zły humor: mruczał pod nosem, sykał przez zęby. Przy drugim wołał na Biedrzyckiego:

— Zastanów się, co robisz! Nie wiesz sam, czego się trzymasz! Grasz bez planu!..

Była chwila, w której o mało nie rzucił kart i nie wstał od stolika. Czerwony z wysiłku, żyły miał nabrzmiałe na czole i w skroniach. Szarpał się na krześle, stukał obcasem o podłogę, chrząkał i przerywał grę co minuta, mówiąc:

— Nie, stanowczo już dosyć. Dłużej nie wytrzymam! Jak można tak wychodzić!..

Miał na sobie zapisanych dwieście pięćdziesiąt punktów. Sapał ze zmęczenia po skończonym drugim robrze. Trzeciego wypadło mu grać z Julkiem.

Wstając na zmianę, kazał sobie podać wodę, bo w gardle mu zaschło: mówić wcale nie mógł. Wypiwszy wodę, prosił o otworzenie okna, gdyż bardzo mu było gorąco. Mundsztuk papierosa, który trzymał w zębach, cały był pogryziony. Włosy na głowie, przed godziną jeszcze równo nad prawem uchem przedzielone, szczotką i fiksatuarem do poziomego położenia zmuszone, w tej chwili stały sztywnemi kępkami dokoła skroni. Twarz miał czerwono-siną. Siatka żyłek na białkach oczów krwią mu nabiegła zlekka.

Przeszedłszy się parę razy po pokoju, rzekł do Julka:

— No, młody kolego, tylko graj ostrożnie! Z wujaszkiem i z Biedrzyckim sfiksować było można! Nic dziś nie rozumieją! Mówią „pas,“ kiedy powinni deklarować kolor!.. Dawno już, dawno takiej podłej gry nie miałem.

Julek skupił całą uwagę. Karta, która przy pierwszych dwóch robrach dopisywała mu względnie nieźle, teraz zaczęła iść wyjątkowo świetnie.

Twarz dyrektora rozjaśniała się z każdą sekundą. Oczy promieniały. Kąty ust rozbiegły się w uśmiechu zadowolenia.

— No, młodzieńcze — wołał — zakasowałeś starych! Grasz, jak anioł! Dawno już nie zdarzyło mi się mieć takiego dzielnego partnera.

Co chwila potem dodawał:

— Doskonale, świetnie, znakomicie!..

Biedrzycki z panem Antonim dogadywali sobie nawzajem.

— Antek, decydujesz się za prędko! — wołał Biedrzycki, niezadowolony z kombinacyi kolegi.

— Uwagi swoje możesz zostawić na boku: kart nie zmienię — odpierał pan Antoni.

Straszewski mitygował ich:

— Dalibyście pokój — mówił — sprzeczacie się, jak dwa żaki...

Rober był na ukończeniu. Rozdano karty po raz ostatni. Licytacya wykazała, że przeciwnicy mają swój silny kolor. Julek podbijał ich ciągle, podtrzymywany dzielnie przez dyrektora. Pan Antoni i Biedrzycki stanęli na pięciu kierach. Słowo „pas“ dało się słyszeć. Julek, mając ostatni głos, zadeklarował wielkiego szlema w karo.

Gdy obliczono robra, Straszewski, pomimo dawniejszych niepowodzeń, był wygrany na czysto trzydzieści punktów.

Wstał, rozpromieniony, proponując na zakończenie „kozaczka.“ Pani Felicya jednak, wszedłszy do gabinetu, postawiła veto, prosząc wszystkich na kolacyę.

Biedrzycki we drzwiach stołowego pokoju zwrócił się do pana Antoniego, mówiąc:

— Gdybyś był w przedostatniej grze wyszedł w kiery, zamiast w piki, bylibyśmy o sześćdziesiąt punktów mniej przegrali...

Pan Antoni zmarszczył brwi, nachmurzył czoło i odparł cierpko:

— Wielka szkoda, że mentorstwo zbyt późno przyszło ci na myśl. Mogłeś mi pokazać kartę we właściwym czasie...

Sprzeczali się jeszcze o fałszywą licytacyę w grze, którą stracili, mogąc zrobić cztery trefle, gdy pani Felicya, podając gościom sama przekąski, zawołała:

gim języku. Wszystko to wypełnia pierwszy okólnik; w drugim zajmuje się dostojnik pruski kazaniami dla niemców i stawia zasadę, że gdzie czwarta choćby część parafian rozumie i mówi po niemiecku, tam już kazania muszą być w obu językach, a to samo stosuje się do spowiedzi i przygotowań przed spowiedzią (*perikope*). Gdzie jest mniej, niż czwarta część, tam nabożeństwa niemieckie peryodycznie odbywać się powinny.

Pomiędzy patryarchatem ekumenicznym w Armenii a Portą wybuchł ostry spór, skutkiem którego wszystkie kościoły zostały zamknięte, a nabożeństwa w nich przerwane. Sprawa ta jednakże wkrótce z wewnętrznej stała się zewnętrzną. Bo oto naprzód *Journal de St. Petersbourg* wystąpił z przestrogą, napominającą sułtana, ażeby nie określał praw wyznania chrześciańskiego sposobem mahometańskim, lecz brał przykład z innych rządów europejskich; następnie poseł ruski w Konstantynopolu, Nelidow, przedstawił Porcie konieczność zakończenia waśni ustępstwami, gdyż z niej wyrosnąć mogą nieprzyjemne kłopoty. Dwa te naciski niewątpliwie wywrą swój skutek.

Książę Koburski otworzył sejm mową, w której pomieścił znaczną chwalbę dla Turcyi za mianowanie biskupów bulgarskich w Macedonii. Ponieważ zaś wspomniał przytem o zwierzchniczych prawach sułtana, więc pośrednio zaprzeczył przypisywanej mu myśli ogłoszenia niepodległości Bulgaryi.

Ex-król Milan, pożegnawszy czule syna, regentów i ministrów, opuścił Serbię i wyjechał do Paryża, gdzie odpocznie po „pracy.“ Praca ta zaś była nie małą, a czułość przy rozstaniu usprawiedliwioną: nietylko bowiem potwierdzono mu rozwód, ale włożono w kieszeń poważną sumę, jako dopłatę do pensyi dotychczasowej, która nie wystarczała na Paryż, a tem mniej na Monaco. Można Milanowi przebaczyć wiele kroków lekkomyślnych, ale to wysysanie i marnowanie środków biednego narodu jest oburzającem. Jeżeli chce płacić długi i hulać, niechże wreszcie poślubi bogatą amerykankę, a nie obdziera biedaków, których całem niemal źródłem dochodu jest hodowla i sprzedawanie świń, zatrzymywanych na granicy przez jego austryackich przyjaciół.

Może już w tej chwili Crispi widział się z Caprivim w Medyolanie. Interesem, który ich przyciągnął, jest zdaje się sprawa unii celnej, która jest przedmiotem dawnych układów między Austryą a Niemcami, a do którejchcianoby również wlączyć trzeciego spólnika sojuszu politycznego — Włochy. Po spotkaniu z kanclerzem niemieckim Crispi ma wypowiedzieć „wielką mowę ekonomiczną.“ Treść jej będzie naturalnie zależeć od targu w rozmowie na cztery oczy.

Szwajcarya dalej burzy się dwoma powaśnionymi żywiołami. Ten najspokojniejszy pod słońcem europejskiem kraik musi dla tłumienia rozruchów „konsygnować wojska.“

Gladston otworzył usta i wylał z nich potok złorzeczeń na rząd obecny za gnębienie Irlandyi. Stary whig pod koniec życia coraz bardziej rozumie krzywdy ludzkie i coraz jaśniej rysuje się w życiu politycznem. Niedawno jeszcze z Biblią i Homerem w ręku bardzo przypominał czasy tych dwu ksiąg.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DO BRAZYLII.

Przyczyny ruchu. Jeżeli p. Gloger utrzymuje, że „w grę pobudek do wychodztwa nie wchodzi tu (około Tykocina) ani nędza, ani przeludnienie, ani brak zarobku, lecz poprostu gorączka złota, rozbudzona w ciemnych umysłach przez zgraję pokątnych agentów, działających tajemniczo a przebiegle,“ to po części tylko w inne wyrazy wkłada myśl, której przeczy. Bo ostatecznie czy przyczyny ruchu nazwiemy „gorączką złota,“ czy chęcią poprawy bytu ekonomicznego, fakt pozostanie jednaki. Dla zrozumienia zaś, zbadania i — jeżeli można — usunięcia zjawiska nie należy go osłaniać złudnymi pozorami, ale rozebrać je z nich i zajrzeć w rdzeń rzeczy. Wtedy zobaczymy niewątpliwie, że gruntem, na którym przyjęła się siejba niecnych agentów, był niedostatek i chęć zmiany warunków pracy wraz z nadzieją osiągnięcia szczęścia. Korespondent *Gazety warszawskiej* z Mławskiego zapisuje spostrzeżenie pod tym względem ważne: „Z rozmów oraz informacyj u władz miejscowych czerpanych doszedłem do przekonania, iż emigracya rozpoczęła się w maju i trwała do połowy czerwca, następnie osłabła i wzmogła się dopiero po żniwach, przybrawszy następnie groźne rozmiary po ukończeniu kopania kartofli, które w tym roku w gub. płockiej chybiły. Tu przedewszystkiem muszę zwrócić uwagę na tę okoliczność, iż proletaryat rolny w pow. mławskim, sierpeckim oraz prasznyskim jest znaczny i że wyganianie polaków przed kilku laty za czasów ks. Bismarka wparło napowrót w granice Królestwa Polskiego masę biedaków, którzy się utrzymywali w Prusach z pracy ręcznej w gospodarstwach rolnych.“ Gdy na dworcu kolei Petersburskiej zatrzymano gromadę włościan z Łomżyńskiego i odprowadzono do Ratusza, na wszelkie perswazye i przedstawienia oczekującej ich nędzy odpowiadali: „Już większej nie będziemy mieli biedy, niż tu mamy; dajcie nam pracę, a pozostaniemy na miejscu.“

Zapewne ci i owi, porwani gwałtownym pędem stada, przyłączają się do niego, porzucając względny dobrobyt dla nadziei zdobycia złotego runa; ale to są właściwie tylko przypadkowe dopływy emigracyi.

Agenci i naganiacze. Już dziś, po wytropieniu lub schwytaniu niektórych łotrów, można mieć pojęcie o organizacyi i działaniach tej nikczemnej bandy. Głównym jej kierownikiem jest Jose dos Santos w Lizbonie, pod komendą którego za Rosyę pozostają opryszki w niemieckich miastach portowych (Hamburgu, Bremie), oraz pruskich stacyach pogranicznych, a ci znowu mają swoich naganiaczów w naszym kraju. W Bremie — według korespondenta *Kuryera warsz.* — zawiaduje przedsiębiorstwem niejaki Heidenreich, właściciel zajazdu. Porozumiewa on się z dyrekcyą „Lloyda“ i pośredniczy poufnie między nią a Santosem i agentami. Na dworcu kolejowym w Bremie uwija się gromada oprawców, którzy mówią po rusku, polsku i niemiecku. Większość używa wprawnie języka polskiego; są to bowiem niemcy z Poznańskiego i Łodzi, a znajduje się między nimi jeden warszawianin, najenergiczniejszy naganiacz.“ *)

W granicach naszego kraju rozpoczęli naprzód agitacyę niemcy, następnie zaciągnęły się do niej rozmaite jednostki moralnie pokalane, wreszcie prowadzą ją bezwiednie odurzeni i usidlani chłopi. Tak np. w Mławie pierwszą pobudkę do emigracyi dał nauczyciel miejscowej szkoły ewangelickiej Gustaw Schreiber. Najczynniej w namawianiu i przeprowadzaniu wychodźców przez granicę współdziałają kontrabandziści, dla których jest to nowa odmiana rzemiosła.

*) *Kuryer warsz.* w numerze środowym zawiadamia, że głównym agentem na Królestwo Polskie w Berlinie są: Matfeld i Langenberg. Pierwszy z nich jest współwłaścicielem firmowym domu transportowego w Warszawie przy ulicy Jerozolimskiej.

— Antosiu, pan dyrektor czeka: częstuj wódką!

— Jestem dziś bardzo przy apetycie — rzekł Straszewski, zwracając się do gospodyni domu.

— Zrabujemy pani dobrodziejce całą śpiżarnię: nie można takich wilków często prosić...

Śmiejąc się, konceptując, brał jedną tartinkę po drugiej. Chwalił kawior, zachwycał się łososiem, pił powtórnie wódkę.

Biedrzycki z panem Antonim jedli mało, mówili jeszcze mniej.

— Oni teraz jak dwa koguty — rzekł dyrektor, wskazując na nich. — Już ja kwituję z ich sąsiedztwa. Pozwoli pani dobrodziejka — dodał, zwracając się do gospodyni domu — usiąść przy sobie. Mój szczęśliwy partner niech będzie sąsiadem z drugiej strony. Dzielny chłopiec: takich lubię!

— Jak dawno skończyliście kursy, kolego? — zapytał nachylając się w stronę Julka.

— Trzynastego czerwca dwa lata temu zdałem ostatni egzamin. W trzy miesiące potem miałem zaszczyt przedstawić się panu dyrektorowi — rzekł Julek śmiało, bez trwogi patrząc w oczy Straszewskiemu. — Odtąd — dodał — wzdycham do posady, na którą mi pan dyrektor wciąż każe czekać cierpliwie...

— No, jaki to uszczypliwy! — zawołał Straszewski, śmiejąc się i uderzając Julka ręką lekko po ramieniu.

Zwróciwszy się następnie do sąsiadki, dorzucił:

— Siostrzeniec pani naprawdę dzielny młodzieniec!

Zniżając głos, szepnął:

— Teraz, kiedy go poznałem, nie zapomnę o nim: możecie państwo, być tego pewni.

Podano szynkę na gorąco, obłożoną *purée* z grochu! Pani Felicya sama położyła sąsiadowi dwa ładne kawałki ze środka. Po szynce przyniesiono kurczęta z rożna, szparagi i kompoty. W przerwach między jednem daniem a drugiem, gospodarz nalewał w kieliszki starego węgrzyna. Wznoszono toasty: najpierw na uczczenie trwałości koleżeńskiego przymierza, następnie — na zdrowie solenizanta i jego małżonki.

Po kremach i galaretach, których dyrektor był wielkim zwolennikiem, podano czarną kawę i likiery własnoręcznej fabrykacyi pani Felicyi. Straszewski, podochocony, wołał jeszcze o wino, aby wychylić kieliszek na cześć młodego sąsiada i jego przyszłej karyery. Uśmiechnięty, z oczyma trochę rozmarzonemi, z głową chwiejącą się cokolwiek to w tył, to naprzód, ściskał Julka, powtarzając:

— Już będę pamiętał o tobie! Spuść się na mnie! Dzielny z ciebie chłopiec!

Kolacya skończyła się późno. Straszewski nie puszczał Julka od siebie. Wychodząc, wziął go pod rękę i nie puścił, aż przed bramą swego domu. Przez drogę powtórzył kilka razy:

— Z twoją głową powinieneś zajść daleko! Stanowczo pomyślę o tobie!

Nazajutrz w fabryce, dopytawszy się, gdzie pracuje, sam pierwszy przystąpił do niego, podając mu rękę na powitanie i twierdząc, iż oddał się zbyt ciężkiej pracy.

Dwa miesiące nie upłynęły, kiedy Julek dostał nominacyę na pomocnika jednego ze starszych inżenierów. W pół roku potem, dzięki wakansowi, jaki się otworzył, został kierownikiem przy oddziale kotłów parowych. Po roku podwyższono mu znacznie pensyę.

Straszewski, klepiąc go po ramieniu, powtarzał często:

— Karyera przed tobą, chłopcze, karyera! Nie dla kształtu masz głowę!

Cecylia Walewska.

„Dla podniecenia wyobraźni włościan w miejscowościach pogranicznych agenci emigracyjni — jak donosi korespondent *Kur. warsz.* z Płocka — przybierają charakter wędrownych właścicieli panoram. Stereoskopy takie, przedstawiające rajskie widoki i właściwości Brazylii, najbardziej czynne są: na odpustach, targach i nawet nabożeństwach niedzielnych, gdzie za opłatą 1 kop. każdy „cudom brazylijskim“ napatrzeć się może dowoli!..“

O innym środku kuszącym zawiadamia *Kuryer codzienny*.

„Do jakiej czelności dochodzi agitacya — powiada on — dowodem książeczki drukowane w potwornym polskim języku, zawierające wizerunki litografowane z podpisami: „królowej angielskiej,“ „papieża opiekuna Brazylii,“ księży różnych, widoki kościołów, wiosek itp., a w końcu portrety chłopów polskich w chwili przybycia do Brazylii i po dwóch miesiącach pobytu. Ci ostatni ubrani są w eleganckie szaty, w cylindry, z workami złota...“

Naturalnie nić agitacyjna opasuje całe pogranicze, ale powoli zaczyna się przysuwać ku okolicom dalszym. Dostrzeżono już naganiaczów w szynkach i fabrykach warszawskich.

Pomimo że prawo niemieckie zabrania takiego niecnego handlu ludźmi, a obecnie nawet zatamowało emigracyę do Brazylii z powodu panujących tam chorób, nie tylko agenci pakują bezkarnie żywy towar na okręty w portach i dopuszczają się najbezecniejszych nadużyć, ale nawet (według *Wieku*) landraci pruscy dopomagają naganiaczom, wydając „przepustki“ dla wychodźców naszych, którzy za temi kartkami przejeżdżają granicę.

Podróż. Korespondent *Gazety warsz.* wypisał z ksiąg rejenta mławskiego kilka aktów sprzedaży, dających wyobrażenie, z jaką skwapliwością włościanie wyprzedają się za bezcen ze swych gruntów i dobytku dla zyskania pieniędzy na podróż do Bremy (ziemię po 20—30 rs. za mórg, krowy — 10 do 15 rs., zagon kartofli — 50 kop. itd.). Spieniężywszy wszystko, powierzają się zwykle szwarcownikowi, który za rubla od osoby przeprowadza za granicę. Jeden z korespondentów usiłował ich wybadać w Hamburgu: odmówili objaśnień, przyznali się tylko, że kolej z Iłowa kosztowała ich po 40 rs.! Sprawozdawca *Kuryera warsz.* tak opisuje ich niedolę w Bremie:

„Gdyby mi najwiarogodniejsza osoba opowiadała o tem, na co tu patrzę od wczoraj własnemi oczami, istotnie nie mógłbym dać wiary. Toć to już nie emigracya do Ameryki w zwyczajnem tego słowa znaczeniu, ale istna wędrówka narodów. Brema literalnie zalana wychodźcami. Gdzie spojrzeć, wszędzie widać ich grupy z żonami i dziećmi. I tak idzie codzień przez całe lato, tak dalece, że tutejsze towarzystwo nawigacyjne „Norddeutscher Loyd in Bremen,“ główny przedsiębiorca wywozu kolonistów do Ameryki południowej, względnie do Brazylii, nie może na przewóz ich dostarczyć dość okrętów, tak, że masa wychodźców czeka tu już od dni kilku na odjazd. Tymczasem obdzierają w Bremie biednych wychodźców, którzy za nędzny nocleg i wikt muszą dziennie opłacać po sześć marek od osoby. Przewóz morzem darmo. Większa część, obdarta po drodze z wszystkich zasobów pieniężnych, wsiada bez grosza na okręt, zdając się na łaskę lub niełaskę swoich oprawców. Widziałem tu na własne oczy, jak oszukują wychodźców przy wymianie pieniędzy. Za rubla płacą zaledwie dwie marki, ale jeszcze więcej ich grabią przy wymianie rubli na brazylijskie pieniądze, na których się żaden z wychodźców nie zna. Jak się przekonałem z rozmowy co najmniej ze stoma wychodźcami, prawie nikt z nich nie wie, że jedzie do Ameryki. Na pytanie bowiem, jakie im zadawałem: „Czy i wy jedziecie do Ameryki?“ — otrzymuję zawsze stereotypową odpowiedź: „Nie, prose pana, my idziema do Brazylii.“ Dokąd? Nie wiedzą, przynajmniej tak wszyscy zapewniają, chociaż, zdaje się, że związano ich rzeczywiście przysięgą do zachowania wszystkiego w jaknajwiększej tajemnicy.“

Z Bremerhaven: „Byłem obecny przy naładowywaniu okrętu „Baltimore“ towarem ludzkim. Agenci obchodzą się z wychodźcami, jak z bydłem. Wielu żałuje, iż kraj opuścili. Od rana deszcz leje, jak z cebra, potęgując grozę scen z iście dantejskiego piekła. Dokoła rozlega się jęk kobiet, płacz rozpaczliwy dzieci, przekleństwa mężczyzn. Nawpół omdlałych maruderów okręt zabiera na pokład. W ścisku i zgiełku zachodzi kilka wypadków epilepsyi; na chorych przecież nikt tu nie zwraca uwagi.“

W Brazylii. Agenci, bądź pojmując skuteczność pomyślnych wiadomości nadsyłanych z Brazylii, bądź paraliżując niepożądane, nadsyłają listy fałszowane i jakoby pochodzące od wychodźców, którzy wabią krewnych i znajomych do mniemanego raju. W korespondencyach tych donoszą, że chleb rośnie na drzewach, a pieniądze można kopać jak kartofle itp. Ale nadchodzą również listy prawdziwe, pełne skarg i rozpaczy, które ochładzają zapalonych. Tu kucharz (z Maliniec, pow. koniński), tam owczarek (z Nosarzewa, pow. mławski) i inni, którzy przybyli na miejsce, ostrzegają krewniaków i przyjaciół obrazami swego nieszczęścia. Na szczególną jednak uwagę zasługuje list pewnego emigranta z Mławy, człowieka nieco ukształconego, który dość objektywnie i krytycznie przedstawia położenie. Pisze on:

„Chleba tu niemasz, kartofli tak samo; w mieście są, ale nie dobre i drogie jak ryż, więc tylko rzeczy, ktore tu widzę, podługowaty groch, kukurydza i kawa. Tu mil (równa się ruskiemu rublowi i trzyma 1,000 reisów) takie ma znaczenie, jak u was złotówka. Butelka piwa zagranicznego 1 mil, tutejszego 1/2 mil, 1 kilo wieprzowego mięsa 1 mil; bydlęcego 1/2 mil, kwarta nafty 1/2 mil itd. Taniego tu niema zgoła nic, oprócz surowej kawy i pomarańcz. Rolnictwo tu jeszcze śpi, wsi tu jeszcze niemasz, wozów tu nieznają oprócz dwukołowego na drewnianej osi pięciu parami wołów ciągniętego, wszystko przewożą na mułach, koni używają tylko pod wierzch. Miałem zostać w St. Paulo w fabryce powozów, lecz że tam strasznie drogo, nie zdecydowałem się; tak samo do Campinos, tam zaś panowała przez dwa lata żółta febra, bałem się i poszedłem do plantacyi kawy. Nie jest tu tak, jak sobie emigranci wyobrażają; niech jedzie taki tylko, co niema nic do stracenia, przedewszystkiem potrzeba znać tutejszy język, bez tego ani rusz. Równiny tu jeszcze nie widziałem, same góry. Mieszkania są tu bez sufitów i szyb w oknach, pieców także niemasz, krów nie doją, masła nie znają, kur, owiec i świń dosyć, lecz chlewów dla nich niema, cały rok na pastwisku. Teraz tu mamy zimę, tj. tak jak u nas marzec; noce są dość chłodne, w przeszłym miesiącu zimne, lecz słońce, gdzie się pokaże, to piecze, rano przed g. 7-mą robi się dzień, wieczór po g. 6-tej noc. W lasach drzewa nie są ani grube, ani zbyt wysokie, lecz tak zrośnięte i przyplecione, że jak sto spuścisz, to ani jedno dostaniesz. Do Bremen jechaliśmy z Iłowa; z Bremen odwieziono nas na dwóch mniejszych statkach. Było nas około 700 osób, wyłącznie z Rosyi i Niemiec. Bałwany tak okrętem rzucały, jak jaką skrzynią. Była to okropna jazda; najgorzej było już jak widzieliśmy ląd brazylijski cały dzień, a w nocy taka burza, że nic na miejscu się nie utrzymało. Jedna armata się oderwała, ludzie z łóżek pozlatali, już myślałeś, że okręt się przewróci. Nie zapomnę tego nigdy. Człowiek tak słaby, bo chleb, mięso, kawa i herbata na statku nie dla ludzi; ja żyłem tylko zupą, a dziecko winem, butelka 2-ie marki. Widok okropny, co dzień ci dwoje lub troje dzieci rzucano w wodę, gdyż panowała na okręcie ospa, a niejeden żałował, iż się puścił w drogę. Na domiar wszystkiego niema nigdzie miejsca, aby usiąść, jeżeli jest, to się porusza miluchnemi zwierzątkami, których unikamy. Nieszczęśliwy każdy, kto emigranckim okrętem jedzie do Brazylii. Dnia 20-go przybiliśmy do Bahii. Tuśmy zostali pięć dni na wyspie, 50 dzieci, 4-ch dużych musiało iść do szpitala Stąd każdy pojechał, gdzie chciał. Kłaniam się i pozdrawiam znajomych wszystkich, Józef Czypek Braganza.

A jakiż los czeka tych, którzy mniej sobie radzić umieją, ciemnych chłopów?

Środki zapobiegawcze. Władze administracyjne zaczęły energicznie tamować ruch emigracyjny: wstrzymano wydawanie „przepustek“ ludności pogranicznej, uwięziono kilku naganiaczów, wreszcie policya aresztuje na dworcach kolejowych partye wychodźców i odsyła ich do miejsc zamieszkania. Dzięki tym środkom w ostatnim tygodniu wylew znacznie zmalał.

BADANIA NAUKOWE.

WIECZNE LODOWISKA GRENLANDYI

i najnowszy projekt podróży na jej wschodnie wybrzeża.

Grenlandya, kraina polarna pokryta prawie cała olbrzymim całunem lodowym, śród którego sterczą tylko tu i owdzie najwyższe szczyty pogrzebanych gór, jako tak zwane „nunatak,“ przedstawia w miniaturze obraz epoki lodowej, jaka niegdyś istniała na ziemi. Z tego powodu wyspa ta, mimo swej niegościnnej, groźnej przyrody, stała się oddawna celem wypraw badawczych, szczególnie dla uczonych skandynawskich. W jednem z nawskich czasopism norweskich pojawił się niedawno artykuł, którego autor kreśli historyczny rozwój naszych wiadomości o wiecznych lodach Grenlandyi; interesujący ten artykuł podajemy tutaj w skróceniu za czasopismem *Petermann's Mitteilungen* (1890 VIII).

Autor zaznajamia nas z początku, w jaki sposób sami krajowcy, Eskimowie, nabyli pewnych wyobrażeń o geografii swej surowej ojczyzny. Gdy pierwsi eskimoscy przybysze przekroczyli Smithsund, znaleźli się w kraju zupełnie sobie nieznanym i gdy późniejsze generacye rozprzestrzeniły się powoli po całym jego obszarze, przeniosły swe dawne podania na tę nową siedzibę bez wielkich modyfikacyi. Tym to sposobem Indyanie, z którymi przodkowie Eskimów grenlandzkich walczyli na północnych wybrzeżach Ameryki, zmienili się w bajecznych mieszkańców lodowego wnętrza Grenlandyi. Dalej autor przypuszcza, że przybysze w części udali się drogą ku północy dokoła wyspy i stąd powstało wyobrażenie o cieśninach, przecinających w poprzek Grenlandyę, które utrzymało się przez wiele lat. Obok tego jednak Grenlandczycy nabyli i prawdziwych wiadomości o kraju, dzięki swym wyprawom na renifery. Poznali oni wzdłuż krawędź lodową i wiedzą, że po za tą krawędzią wszystko jest zlodowacone, wyjąwszy nunataków. Czasami dostawali się oni nawet na wierzch krawędzi, po części poszukując poprzecznych dróg przez lody, po części ścigając reniferów na nunatakach. Idea, że we wnętrzu Grenlandyi mogą istnieć oazy wolne od lodu, jest wytworem europejczyków, grenlandczycy nic nie wiedzą o takich domysłach. Za to pojęcia grenlandczyków o zmianach krawędzi lodowej są niejasne: podczas gdy na zachodniem wybrzeżu mówią o posuwaniu się lodów naprzód, pokrywaniu obszarów dawniej wolnych od lodu, to mieszkańcy wschodniego wybrzeża utrzymują, że lód się cofa. Gdy grenlandczycy utrzymują, że we wnętrzu ich kraju są jacyś mieszkańcy, to powstaje naturalnie pytanie, czem oni żyć mogą? Odpowiedź grenlandczyków jest prosta: środkami nadnaturalnemi. Mają też tam znajdować się i zwierzęta nadnaturalne.

Pierwsze wiadomości o Grenlandyi zawdzięczamy, jak wiadomo, dawnym skandynawom, Normannom, którzy dzięki swym zdolnościom żeglarskim, dzięki zwężeniu oceanu Atlantyckiego na północy oraz pośrednictwu Islandyi, odkryli i skolonizowali Grenlandyę na 400 przeszło lat przed Kolumbem. Koloniści ci jednak ograniczyli się do wybrzeży, a przynajmniej nic nam nie wiadomo o ich usiłowaniach dostania się do wnętrza kraju.

Z upadkiem tych pierwszych kolonij zniknęła powoli i wiadomość o Grenlandyi. Po powtórnem jej odkryciu poznano wprawdzie zewnętrzne zarysy wybrzeży, ale o zbadaniu wnętrza nie było mowy przez więcej niż 100 lat (1590—1710); przeciwnie wkradł się nowy błąd do wiedzy o tym kraju: odkrycia Frobischera na wybrzeżach Ameryki zostały przeniesione na Grenlandyę; stąd powstała cieśnina Frobischera,

a z biegiem czasu zaczęto przedstawiać na mapach dwie cieśniny, przerzynające wpoprzek Grenlandyę, na mapie zaś Meyera w 1650 r. widzimy Grenlandyę poćwiartowaną na liczne wyspy.

Dopiero z przybyciem Egedego do Grenlandyi w 1721 roku, zaczynają się rozpowszechniać o tym kraju prawdziwsze wiadomości z pewnemi jednak wahaniami, gdyż podanie o cieśninach i wolnych od lodu ścieżkach reniferowych czasami znów się pojawiały; zarazem powstała idea o wolnych od lodu oazach we wnętrzu.

W roku 1857 niezmordowany badacz Grenlandyi Rink wydał geograficzno-statystyczne dzieło o tym kraju, poświęcone głównie zbadaniu pokrywy lodowej. Krawędź tej pokrywy została o ile możności określona i naniesiona na mapę, fiordy, gdzie lody wnętrza dosięgają morza i wytwarzają góry lodowe, zostały rozklasyfikowane według produkcyi lodu; wreszcie obliczona została przybliżenie ogólna produkcya lodu i porównana z przypuszczalną ilością opadów we wnętrzu Grenlandyi. Po drodze wytkniętej przez Rinka poszli systematycznie inni badacze skandynawscy tak, iż obecnie posiadamy mapę całej duńskiej Grenlandyi zachodniej oraz południowej części Grenlandyi wschodniej, na których cały nieprzerwany skraj lodów wewnętrznych jest oznaczony. Z pewnem przybliżeniem skraj ten można określić i dla pozostałej części brzegu zachodniego, dzięki wyprawom cudzoziemskich badaczy, podczas gdy o północnej części wschodniego wybrzeża nic w tym względzie nie wiemy.

Obok oznaczenia skraju zlodowacenia ważną kwestyą w badaniu Grenlandyi były pomiary szybkości, z jaką wewnętrzne lody spływają ku fiordom, aby tam obłamywać się i dawać początek niezliczonym górom lodowym, szybkość ta okazała się, jak wiadomo, wyjątkowo wielką (do 20 metrów na dobę).

Przy coraz bardziej wzrastającym interesie, który budziła śród uczonych grenlandzka pokrywa lodowa, zaczęto wreszcie próby dostania się po niej do wnętrza kraju. Z wypraw tych szczególnie zasługuje na uwagę ostatnia, Nansena, który przebył wpoprzek Grenlandyę 1888 r. Wyprawy te sprostowały wiele mylnych mniemań. Mianowicie zaprzeczyły one domysłowi, że, z powodu utraty wilgoci przez wiatry morskie na krawędzi lodowej, wnętrze musi być suche, a stąd posiada oazy wolne od lodów; owszem, wyniosłości środkowe otrzymują, jak się zdaje, bardzo znaczne opady śnieżne; w jaki sposób śnieg ten zamienia się w lód, aby napowrót dostać się do morza, jest to kwestya bardzo obszerna, do rozwiązania której wyprawa Nansena dostarczyła ważnych materyałów.

Do wyłącznie nowych należą badania nad dawnemi osadami lodowcowemi, które obecnie pokrywają wolny od lodów pas nadbrzeżny. Badania te, które rozpoczęto dopiero w 1870 r., dostarczyły niezmiernie ważnych danych do poznania epoki lodowej. Wreszcie niemniej doniosłą kwestyą, przedstawiającą się badaczom Grenlandyi, są wysoko leżące znaki dawnej linii brzegowej. Zjawisko to tłomaczą zwykle wraz z Penckiem zmianami zachodzącemi w masie potężnej skorupy lodowej, pokrywającej Grenlandyę, a więc zmianami atrakcyi, jaką lody wywierają na wodę; tłomaczenie to jednak nie zgadza się z wywodami matematycznemi.

Ważną lukę w naszych wiadomościach o Grenlandyi stanowi, jak już wspomnieliśmy, północna część wschodniego wybrzeża, to też obecnie porucznik marynarki duńskiej, Ryder powziął plan wypełnienia tej luki. Wyprawa obliczona na dwa lata wyruszy z Kopenhagi w maju lub na początku czerwca 1891 r. w skład jej wejdzie dziewięciu członków, mianowicie dwóch oficerów marynarki, jeden uczony, czterech majtków i zapewne dwóch grenlandczyków z duńskich kolonij zachodniego wybrzeża. Wyprawa zabierze ze sobą trzy łodzie, dom mieszkalny i obserwatoryum, sanie, namioty, łyżwy śniegowe (ski), instrumenty, broń, amunicyę itd. oraz zapasy żywności na dwa lata. Podróżni postarają się przedewszystkiem wylądować pod 69° szer. pn. i założyć tam skład zapasów żywności dla żeglugi letniej 1892 r., następnie popłyną do przylądka Stewart, południowo-wschodniej kończyny kraju Jamesona na północnej stronie sunda Scoresbyego. Miejscowość ta nadaje się doskonale do przezimowania, gdyż kraj jest tutaj niski, lekko falisty, podczas gdy dalsze okolice składają się z wysokich dziko poszarpanych skał, są pokryte lodami i pozbawione wszelkiego życia tak roślinnego jak zwierzęcego. Kraj Jamesona zaś posiada stosunkowo bogatą roślinność oraz zwierzynę, a prócz tego obiecuje bogatą zdobycz pod względem mineralogicznym: znajdują się tutaj różne piaskowce i łupki obfite w skamieniałości. Szczątki wielu chat eskimów wskazują, że przylądek Stewart i pod względem połowu psów morskich jest dogodnie położony, co wraz z polowaniem na niedźwiedzie, renifery itd. wyprawę zaopatrzy w świeże mięso i uchroni od jednostajności pożywienia konserwowego. Wreszcie przylądek Stewart jest dogodnym punktem wyjścia dla wypraw saniami.

Gdy statek, wiozący wyprawę, dosięgnie pomyślnie tego punktu, domy i zapasy zostaną przewiezione na ląd, część wyprawy zostanie tu prawdopodobnie dla prowadzenia obserwacyi meteorologicznych, magnetycznych i astronomicznych. Większa część wyprawy zaś po urządzeniu stacyi wsiądzie znów na okręt, ażeby resztę arktycznego lata użyć na zbadanie licznych fiordów. Gdy stosunki lodowe w jesieni przeszkodzą dalszej żegludze, okręt odwiezie podróżnych do stacyi i powróci do Danii.

Czy wyprawa napotka na tem wybrzeżu mieszkańców trudno przewidzieć. Scoresby znalazł tu w 1822 wiele chat i ognisk z popiołem, co wskazuje, że Eskimowie byli tu prawdopodobnie niedawno przed jego przybyciem. Clavering napotkał w 1823 r. rodzinę złożoną z dwunastu osób osiadłą na wyspie, która później otrzymała jego nazwisko. Późniejsza wyprawa niemiecka nie znalazła tutaj nikogo, Ryder jednak nie uważa za rzecz niemożliwą odnalezienie tutaj jakiegoś odosobnionego plemienia, podobnie jak na zachodniem wybrzeżu koło przylądku York, gdzie znaleziono eskimów zupełnie odosobnionych od pokrewnych im grenlandczyków duńskich przez lody zatoki Melville. Znalezienie takiego odosobnionego plemienia byłoby niezmiernie interesujące dla nauki. W ciągu zimy wyprawa zajmie się naukowemi obserwacyami na stacyi oraz będzie przedsiębrać krótsze wycieczki saniami w okolice, na wiosnę zaczną się dalsze wycieczki. Gdy zaś w lecie lód stanie się kruchy i słaby, wówczas nastąpi czas wypraw na łodziach. Gdyby okrętowi, wysłanemu dla zabrania podróżnych z powrotem do kraju, nie udało się ich dosięgnąć z powodu niekorzystych stosunków lodowych, to w takim razie wyprawa przezimuje na wschodniem wybrzeżu i w lecie 1893 r. puści się na łodziach wzdłuż wybrzeża ku południowi dla dosięgnięcia duńskich kolonij zachodniego wybrzeża, skąd na statku handlowym powróci do Europy.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Wiktor i Edward, *Poezye*. Częstochowa, 1890.

Jest to zbiorek mowy wiązanej, puszczony w świat gwoli miłości autorskiej. Skarbów poezyi naszej on, niestety, nie powiększy — przysporzy raczej trochę więcej plew, na których i dotąd literaturze polskiej nie zbywało. Jakkolwiek cały ten tom można śmiało nazwać płodem poronionym to jednak, po zestawieniu obu poetów z sobą, okaże się, iż p. Wiktor gładziej rymuje. Krąży on około Parnasu wierszów częstochowskich i niekiedy tylko przestępuje jego próg, gdy tymczasem p. Edward z tej „wyżyny“ prawie nie schodzi i nigdy może nie zejdzie... Obaj jednakże zarowno wygrywają na wystruganych kozikiem fujarkach stare, najckliwsze motywy romantyzmu. W obu pokutuje i na złość opętańcom Muzy zarywa falsetem pseudo-bajronizmu — nieszczęśliwy duch Gustawa: obaj też są parodyą jego.

Autorowie mogli śmiało trzy czwarte swoich rymów zostawić w wyłącznem posiadaniu albumów pensyonarek, do których były przeznaczone, lub te z nich, które opiewają boleść zranionego serca, zniszczyć wcale. Ponieważ jednak poeci tego nie zrobili i woleli okazać czytelnikom wszystkie skarby swojej muzy, odwiejmy przeto sami plewy, a skromne ziarenka „talentu“ powołajmy na świadków... banalności.

Lira p. Wiktora nie wiele ma do czynienia z bólami i pragnieniami zbiorowemi, on na niej wybrząkuje tylko nuty pesymizmu osobistego i gorzkie żale zawodów miłosnych. Tak go one zrażają czasem do świata, że w wierszyku zatytułowanym „Własny świat,“ opisuje swoje cofnięcie się w głąb siebie samego, gdzie sam jest panem i gdzie tworzy „istne dziwy,“ znajdując w tem szczęśliwość... Taka kontemplacya nie budzi w nim potrzeby walki, bo po co? Czy on „puszczyk,“ żeby „miał szerzyć“ waśń, gdzie cichą żyją *zgrają*, by miał prawić im,

> ... w co wierzyć,
> A w co wierzyć znów nie mają?

Ponieważ jednak poeta nie jest jeszcze zapewne zupełnie dotknięty chorobą woli i należy do tej sfery, gdzie są uprawiane ideały, oparte na zgodzie ognia z wodą, zjawia się więc u niego ochota do czynu, ale takiego, któryby nie szerzył waśni tam, gdzie „cichą żyją *zgrają*.“ Powiada on:

> Dziś sny tęczowe, marzenia i pieśni
> Już nie rozchmurzą posępnego czoła,
> Bo tłum nie marzy, nie roi i nie śni,
> Kiedy o chleba kawałątek woła,

I obrawszy w ten sposób ową „zgraję,“ na współkę z warunkami materyalnymi jej bytu, z wyższych pragnień, wytyka sobie i wskazuje innym utartą ścieżkę filantropii, bo

> Dziś czynu trzeba i żelaznej woli,
> Żeby przytłumić te jęki i skargi,
> Trzeba zstępować do mieszkań niedoli
> I często odjąć chleb od własnej wargi.

Nie wiele warta taka robota, jako równająca się napełnianiu beczki bezdenej, ale że poeta poleca ją, świadczy tem tylko o dobroci swego serca. Skarży on się, że warunki życiowe zepchnęły go z „wyżyn ducha“ na ziemię, że tylko

> Ten nie czuje, jak boleśnie
> Zrzec się raju jest dla chleba
> I zaprzestać tworzyć pieśnie,

kto nie miał sposobności poznać

> ... chociaż *w trosze*
> Co to rajskie są rozkosze
> Co to przedsmak żywy nieba.

O p. Edwardzie jeszcze mniej daje się powiedzieć. Banalność myśli dotrzymuje u niego kroku zupełna nieudolność formy. Z uczuć jest on potomkiem Gustawa — Gustawkiem. A kiedy potrąci o motyw społeczny, przeżuwa ząbkami mlecznymi oklepany wątek — miłości panicza i dziewoi chłopskiej z przeszkodami pychy rodowej

rodziców, albo też przestrzega dziewoję, żeby nie chodziła do miasta, bo ono jest

... dla wiejskiej dzieweczki zdradne.
Ludzie w niem insi, nie jak wioskowi,
Co ma *najdroższe*, wydrzeć gotowi...

radzi jej zostać w wiosce i patrzeć

... na te łąki i łany
Na lasy, gaje, słomiane chatki.

Zyg. Piet.

LITERATURA NIEMIECKA.

Marya Ebner-Eschenbach. — „Czwarte przykazanie" Anzengrubera.

W tych dniach Marya Ebner-Eschenbach obchodziła sześćdziesiątą rocznicę swych urodzin. Słynna autorka wiedeńska zasługuje w pełni na sympatyę, którą jej okazują wszyscy zajmujący się literaturą niemiecką. Jest to umysł poważny i szlachetny, który rozwijał się wśród cierpień nieodłącznych od wyższej twórczości artystycznej. „Kto mówi o przyjemności tworzenia — twierdzi Ebnerowa w jednym ze swych aforyzmów — ten wydał chyba tylko komarów." Karyera literacka raczej ją odstraszyć, niż zachęcać mogła. Ebnerowa jest córką hr. Dubickiego i w młodości zajmowała się piśmiennictwami słowiańskiemi. Przed trzydziestu laty wydała dramaty „Maria Stuart" i „Maria Roland," jedną ze sztuk jej wystawiono nawet w Burgtheatrze, mimo to jako autorka dramatyczna rozgłosu zdobyć sobie nie mogła. Pierwsza większa jej powieść „Die Freihern von Gemperlein" tułała się przez lat parę od redakcyi do redakcyi, aż Paweł Heyse ją ogłosił. Już w tej powieści stanęła na gruncie, z którego najobfitsze wykwitły dla niej wawrzyny: jest to satyra na stosunki szlacheckie, które Ebnerowa zna wyśmienicie i opisuje z ironią świadczącą o powadze umysłu. „Zwei Comtessen," to może najdzielniejsza satyra na szlachtę współczesną, jaką literatura europejska wydała. Mistrzyni noweli niemieckiej zdobyła sobie uznanie i sympatyę ludzi obojętnych dla literatury pięknej księgą aforyzmów, które z niezwykłym sprytem i z najwyższą prostotą słowa streszczają rezultaty rozmyślań i spostrzeżeń bystrej kobiety, przejętej idealizmem umysłów najszlachetniejszych.

Jak Ebnerowa w powieściach swych z techniką realistyczną łączy kompozycyę prawdziwie artystyczną i polot idealny, tak Anzengruber stworzył dramat realistyczny o głębokiej, prawdziwie idealnej tendencyi. Wiadomo, jakiej wrzawy narobił w Berlinie utwór Sudermanna „Die Ehre." Przygotowywa go właśnie do wystawienia „Theater an der Wien," a dzięki systemowi konkurencyi teatralnej, praktykowanemu w Wiedniu, Deutsches Volkstheater wystawił wprzód Anzengrubera „Viertes Gebot," sztukę będącą pierwowzorem dramatu Sudermanna. Autor zwalcza tu dogmat ślepego wobec rodziców posłuszeństwa losami trzech rodzin. Akcya odgrywa się w kołach drobnego mieszczaństwa wiedeńskiego, to też po części rozmowa toczy się w dyalekcie. Hutterer, właściciel domu, zmusza swą córkę Jadwigę do rozłączenia się z ukochanym jej, biednym nauczycielem gry fortepianowej i do poślubienia bogatego Stolzenthalera, człowieka grubego i zrujnowanego życiem rozpustnem. Widzimy skutki tego małżeństwa: dziecko Stolzenthalera umiera z wycieńczenia sił, żona ucieka z domu męża i kona zwolna. Stolzenthaler, żeniąc się z Jadwigą, opuścił dawną swą kochankę, córkę biednego tokarza, mieszkającego w jego domu. Oto motyw powtórzony w „Ehre" Sudermanna z mniejszym znacznie talentem: stosunek bogatego „Vordeihäuslera" do ubogich „Hinterhäuslerów." Rodzina Schalanterów we wszystkich członkach swych jest typową dla Wiednia: ojciec, zaniedbujący robotę i zapijający się w knajpie, wiecznie rezonujący; matka, która naprowadza córkę na drogę rozpusty i sama mimo dojrzałego wieku wdzięczy się i romansuje; córka, która zaczyna „stosunkiem," a kończy prostytucyą; wreszcie syn, niecpoń, pieszczony przez rodziców, dochodzący do chorobliwej pyszałkowatości, dzięki czemu jako żołnierz zabija przełożonego i ginie z wyroku sądu wojskowego. „Skoro mówicie dzieciom w szkole: czcij ojca i matkę, powiedzcież też rodzicom, aby na to zasługiwali" — oto ostatnie słowa rozstrzelanego.

Skoro zajrzymy głębiej do jędrnego tego utworu, nazwanego przez poetę skromnie „Ein Volkstück," widzimy, że Anzengruber, nie napisawszy ani jednej rozprawy teoretycznej o realizmie i technice dramatycznej, rozwiązał wszystkie niemal zagadnienia, którémi dzisiejsi realiści się zajmują. Postacie jego żyją w oczach widza pełnem, codziennem, prawdziwem życiem; nigdy iluzyi, że nie scenę, lecz życie mamy przed sobą, nie czuliśmy w stopniu tak silnym, jak podczas przedstawienia „Czwartego przykazania." Użył dalej Anzengruber motywu dziedziczności, wyprzedzając Ibsena, wykazał wpływ otoczenia, słynnego „milieu" Zoli. A co najważniejsza, stworzył dramat nawskróś realistyczny, który bynajmniej nie jest stekiem brudów, lecz odzwierciedlając wiernie życie i naturę ludzką, nie opuszcza ani na chwilę gruntu idealnego i głosi jedno z przekonań nowej etyki: bądź samodzielnym i znoś samodzielność drugich.

Stwosz.

T E A T R.

Fredro (ojciec). *List.* Komedya.

Dawniej, za czasów panny Popiel i Deryniżanki, później za życia Żółkowskiego i Wisnowskiej teatr bywał przepełniony, gdy tylko figurowały nazwiska tych artystów na afiszach. Czy to miało znaczyć, że wtedy był wykwintniejszy repertuar? Nie zawsze. Główną siłą przyciągającą była wyborna gra, dzięki której niejedna licha sztuka nie schodziła z desek scenicznych przez lata całe. W miarę ubytku pierwszorzędnych sił reżysera komedyi wpadała w coraz większe zakłopotanie. Znaczna liczba utworów granych poprzednio, raziłaby swą miernotą, więc musiała pójść do archiwum. Za to zyskały szerokie prawo obywatelstwa utwory sceniczne francuskie i niemieckie. Ale naraz krytyka zrobiła gwałtowną naganę na reżysera, siedzącego w szczuplej kniei swego repertuaru. Naokoło huczki wołały o „swojskość." Osaczony ze wszech stron p. Tatarkiewicz jął się ratować Kazimierzem Zalewskim, ale Warszawa nie posiada miliona wykształconej publiczności, więc wkrótce sztuki wszystkim znane straciły moc przyciągającą. Powtórzyła się nowa nagana i huczki dziennikarskie do wykrzyknika „swojskość" dodały: „nowość!" Skądże wziąć tej nowości?.. Pozostał jeszcze jeden środek: wypróbowanie krótkiej pamięci ludzkiej. Posypały się więc wznowienia, ale i tu zawód: „Konkurent i mąż" Korzeniowskiego nie zajął słuchaczów i prawdopodobnie to samo będzie z zapowiedzianem „Okręznem."

W krytycznej chwili przypomniano sobie, że istnieje Fredro, którym raczono dawniej publiczność dosyć często, ale wkonywanie jego sztuk powierzano z pewnem lekceważeniem przeważnie siłom drugorzędnym. Otrząśnięto z grubej pleśni i kurzu stare jego komedye i wznowiono je obecnie. Publiczność zaczęła napełniać teatr i szczerze się bawić. Możeby nie interesowały jej postacie przeżyte, sytuacye czasem naciągane, rażące nieprawdopodobieństwem, gdyby w owych typach nie było wiecznotrwałych cech ludzkich, a w akcyi— żywości, szczerego dowcipu i głębokiej satyry.

Znalazła się więc deska zbawienia, przynajmniej do czasu, ale ma ona dwa końce; gdy reżyserya jednego tylko trzymać się będzie, znowu utonie. Tym drugim końcem, nieujętym ratującą się ręką, jest obsada ról, często tak niewłaściwa, że nawet widz, posiadający najmniej zmysłu krytycznego, zdziwiony zadaje sobie pytanie: dla czego kazano to grać panu lub pannie? Dla czego np. p-na Czaki otrzymała rolę młodziuchnej dzieweczki obok p. Trapszówny, odtwarzającej typ starzejącej się panny?

Na widowisku poniedziałkowem takiej nieodpowiedniości nie było. Obok trzech dawniej grywanych jednoaktówek Fredry („Zrzędność i przekora," „Dwie blizny" i „Świeczka zgasła") wystawiono po raz pierwszy „List," sztukę o temacie zapożyczonym z niemieckiej powieści: „*Der unruhige Abend.*" Podstarzały Orgon (p. Frenkiel) kupuje sobie dom z ogródkiem na ustronnem przedmieściu, gdzie umieszcza młodą żonę Celinę (p. Barszczewska) wraz ze swoją siostrzenicą Zofią (p. Trapszówna). W sercu starego męża drzemie zazdrość, którą mimowolnemi uwagami podnieca dobrze znajomy Radost (p. Grzywiński) i niepokoi go projektem przywiezienia doń młodego i ładnego synowca, Zdzisława (p. Wolski). Młodzieniec uprzedza zamiary stryja, przybywa potajemnie i naznacza swej oblubienicy, Zofii, schadzkę w ogrodzie Orgona podczas nocy księżycowej. Jednocześnie mąż wpatruje się ukradkiem w małżonkę, stojącą w oknie i naraz słyszy jej tęskny monolog, z którego wnosi, że ta wierna jego towarzyszka wzdycha do jakiegoś pięknego młodzieńca; skupia uwagę, zbliża się do okna i po chwili widzi Celinę, piszącą list; intryguje go to coraz mocniej, tem bardziej, że zdybany w ogrodzie młodzieniec ciągle się wałęsa i dopiero pod groźbą udaje, że cofa się przez mur, którędy przyszedł. Poznał on Orgona (chociaż ten stara się nie być poznanym), zrozumiał jego zazdrość i postanowił ją wyzyskać, t. j. póty go prześladować udaną miłością dla żony, aż znękany mąż wstawi się za figlarzem do stryja, dla przebłagania jego nielaskawości. Orgon, uspokoiwszy się odejściem nieznajomego, korzysta z chwilowej nieobecności Celiny, czyta list świeżo napisany, gniecie go wzburzony i ciska przez okno. Gałka papierowa trafia w nos czatującego młodzieńca, który poznawszy treść świstku, chowa go, dla powiększenia skuteczności swej taktyki w razie potrzeby. Orgon, ochłonąwszy nieco z przykrego wrażenia, wychodzi z domu, a właściwie urządza zasadzkę w altanie. Po chwili oczom jego przedstawia się straszny widok: żona wabi młodzieńca, mąż ją łapie za rękę; na okrzyk wystraszonej kobiety wybiega z mieszkania druga ze świecą. Okazuje się, że złapaną na gorącym uczynku była panna Zofia, zaś Celina tylko przybiegła na ratunek. Nieporozumienie szybko się wyjaśnia, Zdzisław otrzymuje zezwolenie na związek z siostrzenicą Orgona; owym zaś listem była kartka z romansu, pisanego potajemnie przez Celinę.

I ten, jak wiele innych utworów Fredry, ratuje się humorem i dowcipem, co wszakże nie może zatrzeć takiego nieprawdopodobieństwa, jak wzięcie przez Zdzisława otyłej sylwetki stryja w negliżu i chustce na głowie za wiotką pannę Zofię, i to zblizka przy księżycu. Ten sam młodzieniec nie może zobaczyć numeru domu, a jednocześnie czyta doskonale pismo przy świetle księżycowem. Wyborna gra p. Frenkla znacznie podniosła sztukę, p. Grzywiński drugorzędną postać Radosta odegrał sumiennie. Panna Trapszówna miała tak mało znaczącą rolkę, że sypane jej oklaski przypisać chyba wrażeniu pozostałemu na publiczności po świetnem odtworzeniu po-

staci innej Zofii w „Zrzędności i przekorze.“ P. Wolski byłby dobrym Zdzisławem, gdyby mniej... improwizował. Taka przytomność umysłu przy niedostatecznem przygotowaniu roli łatwiej przejdzie niespostrzeżenie w prozie, niż w wierszu. Dla p. Barszczewskiej korzystniejszym byłby mniej uroczysty ton mowy.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Kto i co u nas czyta. — Pytanie, które wystarczy do skończenia świata. — Czytamy to, co wydajemy. — Siły naszego czasu. — Brutalna siła i czynniki rozkładu.— Wyszukiwanie dokumentów geneologicznych człowieka-zwierzęcia. — Brzask nowej doby. — Zwrot ku utworom idealistycznym. — Z ciemności na światło. — Pragnienia nędzarzów.

Kto i co u nas czyta? Pomysłowości tak postawionemu pytaniu dla wywołania polemiki odmówić niepodobna. Bo naturalnie, skoro ani księgarz, ani wydawca pisma nie prowadzi żadnej kontroli stanu i płci swych nabywców i abonentów, skoro rządca domu w mieście, a sołtys na wsi nie badają i nie wykazują szematycznie ludzi czytających, to można przy powyższem pytaniu kłócić się i rozprawiać do skończenia świata. Paweł powie, że najliczniejszymi spożywcami literatury są garbaci, Gaweł — że kulawi, Jan — że blondyni, Piotr — że bruneci, Anna — że kobiety, Marya — że wdowy itd. W rozstrzyganiu tej zapewnionej na całą przyszłość „kwestyi“ nie myślę zabierać głosu, zwłaszcza że przed śmiercią nie mogę się z nim spóźnić. Jeżeli wszakże pytanie: kto u nas czyta — pozostanie długo otwartem polem dla turniejów, natomiast inne: co czytamy — prędzej znaleźć może swoją odpowiedź. Bo naturalnie czytamy to, co wydajemy, a ponieważ z wykazów bibliograficznych wiadomo, że najwięcej drukujemy powieści, więc wniosek prosty. Śród tych powieści najwięcej przypada na krajowe i francuskie, czyli na idealny realizm i naturalizm. Idealizm angielski i niemiecki płynie tylko wązkim strumykiem przez pisma kobiece. „Cokolwiek powiedzą różni nadsprejscy i nienadsprejscy krytycy — wyrokuje w *Kuryerze codziennym* p. Z. L. S. — literatura francuska zdołała i w tych czasach szarych, robaczywych, czasach małych talentów, a wielkich za to pretensyj, utrzymać dawne swoje przodownicze stanowisko w świecie. Choć pisarzom francuskim zazdroszczą tego i zaprzeczają z namiętnością zbyt silną, aby miała być sprawiedliwą, ci, którzyby chcieli zająć ich miejsce, to wszelako literatura francuska, jak zawsze, tak i teraz, nadaje — że tak powiem — ton dziedzinie twórczości literackiej na świecie całym.“ Jeżeli ów „ton“ ma znaczyć wzór, powyższe twierdzenie jest nieprawdą, gdyż ani niemcy, ani anglicy, ani rosyanie, ani polacy nie naśladują francuzów i nie powtarzają za mistrzami ich nuty głównej, wydobywanej z „dokumentów życia.“ Ale jeżeli „ton“ ma znaczyć powodzenie, to rzeczywiście powieści francuskie mają najwięcej czytelników w świecie cywilizowanym. A jakie? Naturalistyczne i realne. Objaw ten zasługuje na uwagę i coraz częściej ją zwraca. Nie jest on zależnym jedynie od formy, w której się wyraża, od talentów, ale w znacznej mierze od istoty, od treści. Otóż dlaczego on tak dogodził upodobaniom ludzkim, duchowi „szarych, robaczywych czasów“? Czasy te rozpoczęły się w Europie z epoką wielkich przełomów politycznych i przewrotowych dążeń społecznych. Pierwsze natchnęły świat cynizmem brutalnej siły, drugie — namiętnością burzącej krytyki. Przypomnijmy sobie, że od lat 20 Brennus niemiecki, będący jednocześnie apostołem pięściowej i maczugowej etyki, niezmordowanie nauczał Europę pozanowania i czci dla uprawnionego powodzeniem rozboju, wyśmiewał „sentymentalizm,“ tj. uczucia miłosierdzia, sprawiedliwości, idealnych pragnień, lecząc swój naród gwałtownymi środkami z tej „choroby.“ Nie krył on swego wstrętu i wzgardy dla wszelkich niesamolubnych pierwiastków ludzkich, z zuchwałością, na którą dotychczas ważyli się tylko zmyśleni przez poetów szatani, wyszydzał cnoty, obowiązki i poświęcenia, kusił do wiary w bóstwa nienawiści i wojny, a uwodził nie tyle przekonywaniem, ile olśniewającymi tryumfami. Jeden z angielskich mężów stanu, przypatrzywszy się temu apokaliptycznemu potworowi, wyznał zdumiony, że nigdy jeszcze nie widział człowieka tak ogołoconego z uczuć szlachetnych. Człowiek ten zaś przez ćwierć wieku posiadał w swojem państwie nieograniczoną władzę, a po za niem wywierał szeroki wpływ. Więc znalazł wielbicieli i naśladowców, którzy, jak on, zaczęli budzić w duszach instynkty złe, a usypiać i dusić dobre. Rozbrzmiały też w Europie hasła walki, egoizmu, dumnego barbarzyństwa, które wypłoszyły z życia cały orszak mar idealnych. Nawet ci, którzy nie przyjmowali czynnego udziału w tej dzikiej orgii, patrzyli na nią z uznaniem lub pobłażliwością, uważali ją za naturalny obraz cywilizacyi. My żyliśmy w epoce kultu Bismarka, mniej lub więcej poddaliśmy się jego działaniu, więc nie możemy, jak nie mogli dobrowolni i przymusowi czciciele Molocha lub świadkowie okrucieństw Nerona, wyjść ze swego czasu i ocenić jego wypadków. Ale gdy przyjdą następne pokolenia za lat 50 lub 100, gdy odczytają kazania sejmowe kanclerza niemieckiego, poznają sprężyny jego czynów i skutki jego wpływów, wtedy przerażą się rozmiarami zarazy moralnej, ogromem zaćmienia umysłowego, uwstecznieniem cywilizacyi, zwyrodnieniem uczuć. Pojmą one, że w takiej atmosferze człowiek zwątpił o dostojeństwie człowieka, pragnął go tylko wyzyskać, ujarzmić, zgnębić lub zgładzić, że powieść, odbijająca stosunki ludzkie, musiała zająć się głównie malowaniem spodlenia i ohydy. Ideały pierzchły z życia, więc ich świetlane widma nie przesuwały się między bohaterami sztuki, której zrabowaną świątynię napełnił zwycięzki motłoch. Gwałtowny nurt reformacyjnych dążeń społecznych nie mógł również unosić z sobą umysłów w krainę ideału, gdyż jego głównym celem było podmycie i obalenie dotychczasowej budowy życia zbiorowego. Rzucał on z wściekłością o jej mury swe spienione fale, był burzą, wulkanem, siłą niszczącą, ale nie twórczą. Walcząc przeczeniem i krytyką, musiał przedewszystkiem odsłaniać zgniłe podwaliny, kruche wiązania, okrywające zgniliznę, nędzę, zepsucie i bezprawia. Był on piorunującą filipiką, aktem oskarżenia, pozwem lub klątwą, więc wydobywał na wierzch głęboko ukryte błoto, występki i niecnoty. Ludzkość stanęła w sądzie dla wysłuchania i przeprowadzenia sprawy łupieztwa, chciwości, oszustwa i krzywd wszelkich, poważnione strony zaczęły wzajem znieważać się i odsłaniać do naga swoje zamiłowania. I znowu powieściopisarzom ukazał się tłum wrzaskliwy, o kawał mięsa lub nieogrzizioną kość walczący, zniżony do poziomu najgrubszych namiętności, ożywiony jedynie żądzą płciową i głodem lub nienawiścią. Po nad tem ponurem i spienionem morzem życia przeleciał niekiedy śród ciemności jak meteor charakter wielki, promienisty, ale gasł szybko, nie zdoławszy jej rozświecić. Pozostawała tylko wzburzona masa, a nad nią drobne gwiazdki, słabo przebłyskujące z po za chmur czarnych.

Na tym gruncie rozkładu społecznego, wyjałowionym z pierwiastków idealnych, w gospodarce siły brutalnej narodził się współczesny naturalizm i realizm rozmaitych odcieni. Pod hasłem: człowiek jest zwierzęciem — powieściopisarze zaczęli poszukiwać „dokumentów ludzkich,“ udowadniających zwierzęcość tego gatunku. Zeszli więc do głębin życia, zrewidowali najskrytsze tajniki natury człowieka i wynieśli na wierzch całą ohydę, wszystkie zbrodnie, nieprawości, podrabiane altruizmy, zgniłe uczucia, przewrotne zasady, obłudne pozory i z tego materyału złożyli olbrzymie piramidy podłości, jako pomniki chwały czasu. Nigdy świat zwierzęcy tylu bezeceństw nie wytworzył, nigdy ludzki tylu w swem łonie się nie domyślał. Każdy wyraz tych „dokumentów“ obrzydliwie cuchnie, każdy wiersz jest strugą błota, każdy ustęp — kałużą. Kto zaś w wyścigu tych poszukiwań nie odnalazł „dokumentu“ wiarogodnego, przedstawił podrobiony, aby tylko zadowolić rzeszę, łaknącą wrażeń tego wielkiego kryminału. Ale wreszcie te wrażenia te znużyły, gorszące widoki obmierzły. Ludzkość zapragnęła po nich odpoczynku, zatęskniła do jaśniejszych, idealniejszych obrazów życia, do swej godności, którą w sobie czuje. Coraz wyraźniej pyta ona jak Bóg Lotha: czy między sodomczykami nie ma uczciwych ludzi, dla których należałoby ocalić miasto? Czy świat jest tylko zbiorowiskiem: morderców złodziejów, wiarołomców, rozpustników, maniaków i łotrów? Z pytania tego wybłyskuje na widnokręgu literatury brzask nowej doby. Jakie wejdzie słońce— nie wiadomo, ale to pewna, że nie będzie ono ponurą pochodnią dnia dzisiejszego. Tak, najmocniej w to wierzę, iż w rozwoju twórczości artystycznej zbliżamy się do zwrotu w kierunku bardziej idealnym, który nie potrzebuje być wcale okresem babiego lata minionej romantyki. Niezadługo będziemy pisali i czytali powieści wzniesione po nad sromotę życia, stwarzali bohaterów podniosłej miary, wypalali z brył ludzkich pierwiastki szlachetne. Ludzkość nie może długo żyć w zupełnem o sobie zwątpieniu, a jakąż nadzieję wlewa w nią rozmazujący brudy hańby człowieczej naturalizm? Po zamknięciu powieści Zoli można tylko splunąć, ale niepodobna o niczem zamarzyć.

Znaki świtu są liczne, wskażę tylko jeden. Czemu fantazya Bellamego *W wieku XXI-ym* tak szybki i obszerny zyskała rozgłos? Czy przez nadzwyczajny talent autora? Bynajmniej, pochłonięto ją w setkach tysięcy egzemplarzy dlatego, że ukazała jasny obraz przyszłości, że przedstawiła ludzi oczyszczonych z błota, a ich stosunki w układzie idealnym. Jest ona przecie nie zbiorem „dokumentów ludzkich,“ ale marzeniem, utopią, a mimo to pociągnęła ku sobie więcej umysłów, niż najznakomitszy utwór naturalistyczny. Ludzkość, błądząc po piekle rzeczywistem i zmyślonem, nad bramą którego wypisane jest ostrzeżenie rozbratu z wszelką nadzieją, biegnie za najsłabszym promieniem, który jej wskazuje drogę ku krainie światła. Promień taki właśnie padł z opowieści Bellamego.

Inne spoczywają w łonie niedalekiej przyszłości. Tymczasem karmimy się jeszcze różnemi przyprawami francuskiego naturalizmu, jeszcze przypatrujemy się powieściowym preparatom nerwów znieczulonych, mózgów rozmiękłych, serc stwardniałych, ciał przegniłych. To jest nasza lektura po za twórczością swojską, która bądź trzyma się wzorów dawnych, bądź nowe naśladuje lękliwie. Za wiele spożyliśmy „naturalizmu,“ ażeby on i na nas nie oddziałał. Obyczaje narodu powstrzymały ogłaszanie „dokumentów ludzkich,“ tradycya przystojności publicznej skrępowała powieściopisarzów wstydem, rzetelnego też zolizmu nie mamy wcale; jego wszakże zasada utkwiła w naszych gustach i w naszym probierzu krytycznym. Przy sądzeniu utworów beletrystyki badamy zawsze ich stosunek do rzeczywistości, sprawdzamy, czy one są

„z życia wzięte,“ czy posiadają w swej mieszaninie dostateczny procent realizmu. Ale ulegając rozwojowi i odczuwając drgnienia ludzkości w jednym kierunku, odczuwamy je również w drugim. Inne narody, zapatrzone w przyszłość, zachwyciły się powieścią Bellamego; my, zapatrzeni w przeszłość, unosimy się nad powieściami Sienkiewicza. Obaj autorowie snują fantazye zupełnie oderwane od rzeczywistości, obaj idealizują ludzi i ich stosunki, tylko że pierwszy zalewa światłem to, co będzie, a drugi to, co było.

Nie chcę temi uwagami potępiać lub wyzławiać takiego lub innego rodzaju twórczości, sądzę bowiem, że wszystkie mają jednakie uprawnienie; ale nie wszystkie odpowiadają zarówno potrzebom czasu. Szlamowanie życia z mułu i wywożenie go na pole było koniecznym momentem rozwoju, ale nadeszła chwila, w której ludzkość łaknie czystej wody. Tęsknimy za epoką helenizmu, humanizmu, romantyzmu, za okresami, które już nie wrócą, a wróciwszy nie zadowoliłyby naszych pragnień, ale w których życie nie przedstawiało pola karczowanego, mierzwionego, oranego, lecz niwę bujnie obrosłą i kwitnącą, wonną i jasną. Niedawno jeden z naszych korespondentów, mówiąc o „wolnej scenie ludowej“ w Berlinie i o zamiarze wystawienia na niej naturalistycznych dramatów Hauptmana i Holza, słusznie zauważył: „Kto wie, czy lud, ciężko pracujący przez tydzień cały, w niedzielę z przyjemnością spoglądać będzie na to odzwierciedlenie nędzy i cierpień własnych, czy potrzeba rozweselenia się i wzniesienia nad poziom trosk codziennych nie odciągnie go od sceny dlań przeznaczonej!“ Tak jest, o czem wkrótce się przekona „scena ludowa.“

Wybaczcie, zapomniałem zupełnie o wokandzie „spraw bieżących“ i wypełniłem całą tę rubrykę rozmyślaniem, wcale z niemi niezwiązanem. Darujcie to odstępstwo od zwyczaju skazanemu na ciężkie roboty, który ubezwładniony nie mogąc sam, jakby tego pragnął, uczestniczyć w pewnej pracy, marzy przynajmniej o tem, że ją inni podejmą.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kolej białostocko-łomżyńska. — Sprzeczności. — Wykryte gniazdo podżegaczy emigracyjnych. — Daremne żale. — Prośba o powietrze. — Kuć żelazo póki gorące. — Nowy zarzut bazarowi kobiecemu w Lublinie.— Uwaga.

Krajowi naszemu przybędzie niebawem jeszcze jedna arterya komunikacyjna — w postaci kolei białostocko-łomżyńskiej. Droga ta przetnie okolicę Tykocina w kierunku wschodnio-zachodnim. Wychodząc (przynajmniej według wytkniętego przez inżenierów kierunku) ze Starosielec, stacyi kolei brzesko-grajewskiej, w okolicach Białegostoku, przesunie się ona mimo miasteczka Choroszczy, gdzie jest wielka fabryka kortów. Następnie ponad Narwią przemknie ku wsi Kruszewo, gdzie tę rzekę przetnie koło wiosek kościelnych Kobylino, Rutki i Puchały, podąży do wsi Starej Łomży, gdzie o 3 wiorsty od miasta Łomży zbudowana ma być stacya. W dalszym planie zamierzone jest przedłużenie tej linii aż do Mławy (stacyi kolei Nadwiślańskiej). Tymczasowa zaś część tej całkowitej linii, od Białegostoku do Łomży wyniesie około 10 do 11 mil. Zaciekawiony, jakie może mieć znaczenie ekonomiczne ta nowa para szyn dla miejscowości, gdzie głowa inżenierów ją nakreśliła, a ręce najmitów położą, spytałem o zdanie w tej mierze pewnego obywatela z pod Tykocina.

— Co okolica zyska na nowej kolei? — badałem go.

— Okolica na niej straci — odrzekł mi. To jest właściwie my rolnicy, wytwórcy zboża, stracimy. Dziś, wobec zamknięcia granicy przez cła pruskie, okoliczni ziemianie mają swój miejscowy rynek w młynie parowym w Stelmachowie pod Tykocinem. Z chwilą gdy kolej zbudują, zboże nasze ustąpić będzie musiało zbożu południowych gubernij Cesarstwa, wyprodukowanemu (dzięki przyrodzonej żyzności gruntu) z mniejszym nakładem kapitału, a zatem tańszemu. Straty nasze nie na tem się ograniczą. Zbudowana tuż pod bokiem naszych folwarków droga odciągnie od nich siłę roboczą. Czeka więc nas nietylko brak rąk najemnych, ale także niemiła perspektywa dorównywania podniesionemu przez współzawodniczkę poziomowi zarobków, dotąd w miarę nizkich. Trwać zaś to będzie nietylko w czasie samej budowy kolei, ale i potem, z powodu jej remontu, odgarniania z plantu zasp śnieżnych itp.

Naturalnie wyrażając się w ten sposób, ziemianin miał na myśli interes własny i swojej grupy. Ponieważ jednak spożywców i sprzedających swą pracę jest względnie więcej, niż wytwórców-przedsiębiorców, projektowana tedy kolej przyniesie z sobą korzyść pierwszych. I w tym więc razie, jak w wielu innych, naczelna zasada dzisiejszego ustroju gospodarczego: „powodzenie moje jest klęską twoją, radość moja smutkiem twoim“ — występuje tu nago.

Znowu potrącić muszę o emigracyę brazylijską, ponieważ trwa ona i rozszerza się wciąż, a nawet odsłania czasem sprężyny podżegaczy. Sądząc z tego, co opowiada korespondent *Rolnika i hodowcy* z pow. konińskiego, to praktyki agentów wielce zbliżone są do tych, jakie ongi odbywały się w Oświęcimiu. Jeden z takich rybaków mętnych toni, imieniem Harich, odkryty został niedawno i ubezwładniony przez władze. Obrał sobie siedzibę w Kleczewie, gdzie uchodząc za „komisarza“ (?), oszachrowywał ciemny i bezwładny lud. Drzwi jego „kancelaryi,“ jak powiada korespondent, szczególnie w święta — nie zamykały się od natłoku kandydatów do „zapisu,“ bez którego nie mogli oni wyruszyć za morze. Pobierając po 50 kop. od głowy tytułem prośby, naciągał on ich jeszcze na 80 kop. na markę, ma się rozumieć, urojoną. Przynosiło mu to dziennie 5—10 rs. Taksę za „prośbę“ w miarę napływu klientów zniżył z 5 rs. do 50 kop. Po kilku dniach zapisani przychodzą po „schifkarty,“ które miały niby nadejść z Lizbony. Oczywiście każdy z nich dostaje plikę jaskrawych papierów, zadrukowanych wprawdzie europejskimi językami, ale w każdym razie dla nich niezrozumiałymi. Pomiędzy nimi jest karta różowa, na wszystkie boki firmę lizbońskiego agenta rekomendująca, która u ludu za „szyfkartę“ uchodzi. Po wsiach w Kaliskiem także rozwijają działalność agenci, tylko tam podejmują się tej roli ex-lokaje i ex-ekonomowie. Jeśli władze nie zatamują wczas tych nadużyć, za mamicielami zjawią się może wkrótce naganiacze, jak w Galicyi było. Przebieg procesu wadowickiego winien być dobrze zapamiętany.

Ale zdaje się, że środki zapobiegawcze będą przyspieszone, gdyż w powstrzymywaniu fali wychodźczej, jak zapewnia korespondent, są mocno zainteresowani posiadacze ziemscy i dwóch wybitniejszych przedstawicieli ich udało się już o pomoc do gubernatora kaliskiego. Wiele majątków zostało zupełnie bez siły roboczej, w dwóch dużych zostali tylko — właściciel i administratorzy! W takich warunkach najtwardszy mózg zwątpić może o prawdziwości wyznawanych dotąd poglądów. Ci jednak, których na takie próby narażają — są zepsuci moralnie. „Gdzie dotąd panowała patryarchalna cnota (łagodność i uległość), otumanieni zrywają ogniwa posłuszeństwa. Niejedni po ćwierćwieku i więcej przesłużyli u jednego pana, doznawszy *niekiedy* ojcowskiej opieki, a jednak chęć łatwego zysku, kłanianie się złotemu cielcowi, które powoli i w niższe warstwy się przedziera, przeważa dziś szalę wdzięczności (dla dobroczyńcy) i przywiązania do kraju (nędzy jego).“

Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia...

powiada na to rzeczywistość.

— Lepiej nam tam (w „Branzylii“) jeść ryż, pomarańcze i *ruzynki*, niż tu kartofle— odpowiadają zuchwalcy i emigrują. Smutno tylko, że samopas i naoślep — z deszczu pod rynnę, w jarzmo plantatorów zamorskich.

Nie ulega wątpliwości, że pomimo całego swego wycieńczenia, puls *Gazety lubelskiej* uderza czasem żywiej. Jedna z pracownic pewnego zakładu krawieckiego zwróciła się do niej z zapytaniem, ile też na jej osobę przypada w pokoiku, w którym pracuje przez cały dzień, z małą pauzą na obiad — stóp sześciennych powietrza, niezbędnego do oddychania? „Ponieważ jestem szczupła — skarży się biedaczka — i mam zapadnięte piersi, jak wiele z moich towarzyszek, może więc dlatego się krztuszę i piersi zmuszone są do pospiesznego oddychania. Otóż projekt mój zasadza się na tem, aby ktoś był tyle poczciwy, ażeby zwiedził podobne naszej pracownie i warsztaty rzemieślnicze i wymierzywszy ilość powietrza przypadającego do oddychania na każdą pracownicę czy pracownika, podał rezultat do wiadomości publicznej.“ Nie wiem, jak dalece stosunki i wpływy *Gazety* sięgają, a więc nie wyobrażam sobie, jaką ona da odpowiedź temu poważnemu zapytaniu robotnicy w imieniu koleżanek. Sama ona, bezpośrednio, zapewne nic tu nie wskóra, ale powinna skorzystać z tego charakteru, którego jeszcze wraz z większością organów prasy prowincyonalnej nie zupełnie się pozbyła, mianowicie — pisma, popierającego zarówno interesy wszystkich klas, nie zapominając o tem, powinna zrobić to, co prawdopodobnie leży w jej możliwości — poruszyć opinię publiczną na rzecz zaniedbanych w opiece sanitarnej. Żelazo trzeba kuć, póki jest gorące. Należy wyzyskać chwilę, kiedy na porządku dziennym postawiono sprawę rozciągnięcia inspekcyi fabrycznej i na zakłady rzemieślnicze. Nie poczuje się kompetentną jedna instytucya (państwowego dozoru nad przemysłem), to zwróci uwagę inna, która jeśli się nie mylę, znajduje się w Lublinie — komitet sanitarny. Że sama najmitka wystąpiła w obronie swych słusznych praw, objaw to bardzo pocieszający, bo dowodzi rozbudzonej świadomości własnego i jej grupy położenia...

Jeszcze jeden właśnie obowiązek na barki *Gaz. lubelskiej*. W poprzedniej mojej kronice, potrącając o cyfry, mające dawać wyobrażenie o stopie zarobkowej pracownic, które korzystały z pośrednictwa bazaru robót kobiecych, wyraziłem wątpliwość i zapragnąłem, żeby *Gazeta* postarała się o pewniejsze dane. Dziś to sam powtórzę, ale z większym naciskiem. Upoważnia mnie do tego okoliczność, że w czynieniu zarzutu nie jestem osamotniony. Ktoś z publiczności na szpaltach *Gazety* zwraca uwagę na to, iż wyliczone 18 rs. przeciętnego zarobku najemnic bazaru — nie dadzą się usprawiedliwić, „że żadna z robotnic i to uzdolnionych i pracowitych, nawet czwartej części tego nie zarobiła. z wyjątkiem może kilku bliżej znajomych paniom założycielkom, choć może mniej potrzebujących.“ „Bazar daje zarobek tak nędzny, że żadnej pomocy nim dostarczyć nie może, a to z powodu bardzo wysokich procentów, jakie pobiera, co zaraz udowodnię na przykładzie: przypuśćmy zapłacono robotnicy 50 kop., za materyał 30 kop., sprzedając zaś taką robotę za 1 rs. 50 kop. Albo owe roboty włóczkowe za które płacą od łuta, zarobić można na nich pracując dni 8, kop. 90. Robót zaś dawanych w komis jest tam prawie niemożliwie sprzedać, bo gdy robotnica postawi

na niej swoję cenę, to bazar poprawi ją na daleko wyższą i to w stosunku 1 rs. — 1 rs. 35 kop., a swoją drogą od ceny postawionej przez robotnicę znów procent pobiera. Dla tego też zraża się do niego publiczność, mając towary o bardzo wysokiej cenie, a zarazem nadużywa zaufania robotnic, już do tej pory wiele z nich wycofuje się powoli, poznawszy bezowocność swej ciężkiej pracy." Zarzut to jest poważny i, jak autor zapewnia, oparty na danych, które zebrał od „większej części tamże pracujących robotnic.

Nie wiem, co tam za kulisami się kryje, ale sądzę, że zachowanie się redakcyi wobec tego głosu — jeszcze go bardziej popiera. Tuż zaraz po nim, u dołu, zamieszczone jest wyjaśnienie kierowniczki Bazaru, wprost przeciwnej treści. Powiedziano w niem, że skarga wyszła z ust leniwych i niezręcznych robotnic, że uzdolniona i pracowita „zawsze" zarobi 18 rs. miesięcznie, wyrabiając 10 łutów robót włóczkowych dziennie i otrzymując po 5 kop. od łuta, że protegowanych pracownic „stanowczo" bazar nie ma. Postaci rzeczy to nie zmienia. Protegowaną jest ta, która, będąc skłonniejszą do złudzeń, widzi swoje nie pracodawczyń dobrodziejstwo w naprężaniu swoich sił aż do rezultatu 18 łutów wytworu. Służy ona zarazem za żywy obraz nagany i wzór dla mniej wysilających się. W każdym razie sprawę uważam za niedostatecznie wyjaśnioną i tu właśnie otwiera się pole dla *Gazety*. Niech ona przyjmując na swe szpalty głosy publiczności, wyjaśniające stosunek bazaru do robotnic, zaniecha płonnej obawy szkodliwości ich dla młodej instytucyi — krytyka wszechstronna nie zetrze jej w proch; niech też przed wydrukowaniem, nie pozwala ich czytać stronie oskarżonej, która równocześnie umieszcza swój głos, z powołaniem się na przeciwną. To jest nieprzyzwoicie.

Z. Atanazy.

O PRAWDĘ.

W obronie spotwarzonego stanu.

W numerze 37 *Kraju* pomieszczono artykuł „Z obyczajów szkolnych w Galicyi." Redakcya objaśnia w przypisku, że czyni to poniekąd tylko na przekór cenzurze austryackiej, która wzbroniła poruszenia sprawy w dziennikach galicyjskich. I autor artykułu powiada: „Nikt bardziej od nas nie będzie się cieszył, jeżeli się owe wiadomości fałszywemi okażą." Nie robi on wreszcie własnych uwag, powtarza tylko list, drukowany w łamach wiedeńskiego dziennika *Vaterland*, organu katolickich ortodoksów. Nie mniej, gdy redakcya mówiąc w tymże numerze („Z tygodnia") o powołaniu prof. Bobrzyńskiego na wice-prezydenta Rady szkolnej, objawia przekonanie, że on dopiero zaprowadzi ład w stosunkach szkolnych Galicyi; gdy w następnym niema żadnego sprostowania — słuszna może się zbudzić obawa, aby rzecz ta nie przywarła w pamięci tych, którzy o niej słyszeli, jako niezaprzeczalny pewnik historyczny.

„Wysoce szanowny," jak zapewnia *Vaterland*, galicyanin, zaznajamia czasopismo, a za jego pośrednictwem także jego czytelników, z trzema faktami, na których opiera nieczny zarzut, uczyniony ogółowi galicyjskiego nauczycielstwa, że zbrodnię ohydną nietylko tolerować, ale i osłaniać pragnie, że ze zbrodniarzem się solidaryzuje. Całość ma stanowić piedestał, na którym stawia się pomnik z napisem: „Potrzeba powierzyć dozór nad szkołami duchowieństwu."

Oto fakty w oświetleniu ,,wysoce szanownego" galicyanina.

„W Wadowicach był do niedawna profesor gimnazyalny, który się dopuszczał na uczniach bezwstydnego przestępstwa." Choć fakt był powszechnie najdokładniej znany, nikt przeciw temu nie wystąpił, póki suplent L. anonimowego doniesienia do Rady szkolnej nie zrobił. Rada wysłała zapytanie do dyrekcyi gimnazyalnej. „Dyrektor pytanie to przedłożył na posiedzeniu rady nauczycielskiej," a „suplent oznajmił się natychmiast jako autor listu." „W rzeczywistości jedynym skutkiem wszystkiego było przeniesienie suplenta z Wadowic w jakieś inne miejsce." „Ulega on prześladowaniom może za to, że nie dość wysoko sobie cenił solidarność koleżeńską i posłał zawiadomienie, do którego go zobowiązywało sumienie i prawo," bo „pewne koła zdają się potępiać nie zbrodnię, lecz jej wykrycie."

— Dyrektor gimnazyum żeńskiego w Krakowie miał — jak chodziły pogłoski — szerzyć zepsucie między uczenicami. „Przeniesiono go do seminaryum męzkiego do Rzeszowa, ale równocześnie powierzono mu wykłady w tamtejszej szkole żeńskiej. I dopiero jeden z profesorów gimnazyum rzeszowskiego, oburzony bezeceństwami, jakie miał znaleźć w lekcyi opisanej przez jedną z panienek za dyktandem wspomnianego dyrektora S., wymógł odjęcie mu wykładów w szkole żeńskiej."

— W okolicy Kolbuszowy nauczyciel ludowy Michał Świstewa skorzystał z nieświadomości złego i dobrego dwu dziewcząt. Rodzice ich zwrócili się z prośbą o poradę, co wobec tego uczynić mają, do ks. Mamaka, wikarego. Wójt zawiadomił żandarmeryę, ale ta spóźniła się z przyaresztowaniem winnego o tyle, że miał on czas zażyć truciznę i zmarł w drodze do więzienia. Stosunek ks. Mamaka do tej sprawy, jak to zaznaczyć usiłowałem, niejasny. Dość, że ks. M. z tego powodu miał tyle przykrości wycierpieć od okolicznych nauczycieli, że musiał wreszcie poprosić o przeniesienie go z tamtych okolic.

Pierwszy fakt znam dokładnie.

Był w Wadowicach nauczyciel rysunków S., człowiek powszechnie lubiany i za prawego uważany. Jego to, ni stąd ni zowąd, poczęły oskarżać gołosłowne doniesienia anonimowe przed prokuratoryą państwową, która więcej z obowiązku, niż z przekonania zwróciła się z niemi do Rady szkolnej. Rada szkolna zapytała dyrektora, a gdy ten stanowczo fakta zaprzeczył, zaniechano dochodzenia. Dyrektor ów, p. K., człowiek wysokiego o sobie mniemania, w postępowaniu swem aż nadto samodzielny, wydając opinię o p. S., nie miał obowiązku i nie odwoływał się też wcale do grona nauczycielskiego. To też nietylko o historyi anonimów, ale nawet o istnieniu ich nie wiedzieli profesorowie G. i Z., którzy tę samą sprawę podnieśli — jawnie zwracając się do dyrektora — na podstawie zarzutu, z jakim wobec nich wyrwał się jeden z uczniów w sposób p. S. obrażający. I tutaj śledztwo dyrektor samodzielnie prowadził, a gdy ono wykazało, że inni uczniowie, na których wspomniany uczeń się powoływał, zeznaniom jego wprost zaprzeczyli, gdy nadto sam oskarżyciel, przepraszając p. S., dał poniekąd uboczny dowód fałszywości swych zeznań — ucznia tego wydalono.

Wspomniałem naprzód, że sprawy anonimów zaniechano. Zaniechano jej rzeczywiście, o ile dotyczyła p. S.; dyrektor jednak opierając się na ich piśmie, wyśledził autora. Mimo że pismo to było zmienionem; mimo że w listach owych używano wcale sprytnych wyrażeń, mających na celu skierować uwagę w inną stronę — podejrzenie padło przecież odrazu na potulnego i religijnego — ot ludzie skłonni zawsze do jakichś uprzedzeń — niechętnie mimo tych przymiotów widzianego suplenta L. Dyrektor w cztery oczy zagroził mu, że wydali go, nie pytając nawet Rady szkolnej, jeśli się nie przyzna. Odważnie też wtedy odkrył przyłbicę ten wychowanek oo. jezuitów, sekretarz ongi ,,Katolickiej czytelni," przez to zgromadzenie utrzymywanej. Przyznał się, a dyrektor dotrzymał słowa, bo odwołał się do Rady szkolnej, która też postanowiła nie przenosić go, lecz zupełnie usunąć z zajmowanej posady, pozwalając dotrwać na niej tylko do końca roku szkolnego. Decyzyę motywowano brakiem uzdolnienia nauczycielskiego, a o doniesieniach oszczerczych wspomniano tam, jako o kropli przepełniającej puhar. I rzeczywiście mimo to, co później zaszło, długie lata naprózno, choć silny protekcyą, szturmował p. L. o przywrócenie mu posady.

Gdy decyzya Rady szkolnej zapadła, p. L. szukając tu i owdzie ratunku, ze sprawą swą szersze koła sam powiadomił. Któryś z prawników poradził mu, aby wniósł sam przeciw sobie skargę o oszczerstwo — wytoczono śledztwo sądowe. Wynikiem zaś owego procesu na tak uprawionej glebie przepowiadzonego było zasądzenie prof. S. na cztery lata więzienia.

Oto zatem jeden więcej „rzeczywisty skutek wszystkiego," o którym ,,wysoce szanowny" galicyanin widocznie przepomniał. Były i inne, jak np. dymisyonowanie dyrektora, który obowiązkowi czuwania nad moralnością niedostatecznie czynił zadość — o tych także zamilczano.

Sprawa dyrektora S. raczej na pogłoskach, niż na istotnych danych oparta. Wieści rzeczywiście chodziły. Dyrektora seminaryum nauczycielskiego na drodze dyscyplinarnej przeniesiono rzeczywiście w charakterze profesora do seminaryum męzkiego w Rzeszowie. Ależ tu sam autor owego listu powiada, że profesor gimnazyalny, a więc także nauczyciel ukrócił złe, które nie wiem, czy istniało.

Przejdźmy do kwestyi prześladowania ks. Mamaka. Artykuł pomieszczony w *Kraju* czytałem wspólnie z jednym moim znajomym.

— Znam go — odzywa się nagle mój towarzysz.

— Kogo?

— Ks. Mamaka!

— Cóż to za człowiek?

— Blondyn, słuszny...

— Dobrze, ale z wewnątrz?

— I.....

Nie powtórzę wyrażenia, ale nikt na podstawie cytat wspomnianego listu nie poważy się zaprzeczyć, jeśli powiem, że nie z powodu opisywanego tam wypadku, ale swymi przymiotami ks. Mamak zrazić musiał swe otoczenie, narazić się na przykrości, jakich miano mu nie szczędzić.

Oto na jak kruchych podstawach oparto tak ciężki zarzut. Z wzajemnego ich stosunku należałoby zwątpić o zdrowej logice piszącego, gdyby przemilczania i przekręcania, jakich się dopuścił, nie narzucały gwałtem przekonania o jego złej woli.

Zbrodnia, jakiej dopuścili się ci trzej pedagodzy — przepraszam, dopuścili się dwaj, a trzeci miał się dopuścić — od czasów Sokratesa i dawniej, nietylko u nas sporadycznie się powtarza. Wyprowadzenie zaś na tej podstawie twierdzenia o „potrzebie powierzenia dozoru nad szkołami duchowieństwu" — pomijając sprawę wadowicką, która stanowi niezaprzeczony dowód, że księża katecheci są odpowiedzialnymi za czuwanie nad moralnością, a więc muszą też mieć powierzone to czuwanie — już z tego punktu nie wytrzymuje krytyki, że nienaturalne warunki życia księży muszą z konieczności, częściej niż u świeckich, powodować zboczenia naturalnych popędów. Zresztą, przecież takie same *pogłoski*, jak o wspomnianym przez „wielce szanownego" galicyanina dyrektorze seminaryum żeńskiego, po tymże Krakowie obiegały o byłym katechecie gimnazyum żeńskiego i o zmarłym katechecie gimnazyum św. Anny. O ile zaś wiem, nikt ze zwolenników świeckiego wychowania nie wystąpił na tej, równie silnie ugruntowanej zasadzie z żądaniem usunięcia wszystkich katechetów.

Uhma.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Dyrekcya główna Tow. kredytowego tworzy cztery nowe posady wyższe.

— Zarząd stowarzyszenia subjektów handlowych wyznania mojżeszowego rozszerza dział filantropijny. W tym celu utworzono oddzielną komisyę, w której zakres wchodzi: nie tylko uwzględnienie podań niezamożnych członków i wdów, pod opieką stowarzyszenia pozostających, lecz nadto wyszukiwanie osób tej samej kategoryi, które się ukrywają ze swem ubóstwem.

— Towarzystwo warszawskich tramwajów postanowiło zniżyć ceny biletów dla uczniów i studentów zakładów rządowych. Korzystający z ustępstwa powinni być w mundurach.

— Dla ruskich bibliotek publicznych w Kijowie, Kamieńcu podolskim, Żytomierzu, Grodnie, Dorpacie i Płocku wyznaczono zapomogi w sumie przeszło 1,000 rs.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa wzajemnej pomocy kobiet-lekarzy.

— Kilka gromad miejskich stara się o przemianowanie wszystkich mieszczan na osadników lub obywateli. Prośbę swoją uzasadniają tem, że nazwa *mieszczanie* brzmi jakoś z cudzoziemska, nie po rusku i zbliża się do języka polskiego, pochodząc od wyrazu *miasto* (*St. Pet. Wied.*).

— Ruch za przywróceniem jezuitów w Niemczech szerzy się coraz bardziej. Ogarnął szczególnie okolice katolickie: Westfalię i Prowincye Nadreńskie.

— W Saratowie powstaje klub kobiecy.

— Przy rewizyi oddziału dla obłąkanych w Mińsku gub. odkryto wielkie nadużycia: głodzenie chorych, przykuwanie na łańcuchach itd.

— Wydano rozporządzenie, aby wszystkie akta i korespondencye z władzami w gub. nadbałtyckich prowadzone były w języku ruskim.

Szkoły. W Mińsku gub. przy Tow. dobroczynności powstaje szkoła rzemieślnicza z kursem: stolarstwa, ślusarstwa i kowalstwa. Celem jest kształcenie rzemieślników wiejskich.

— W Berlinie i Konstantynopolu przy poselstwach założono szkoły ruskie.

— Przy uniwersytecie w Tomsku otwarta będzie katedra agronomii.

— W Warszawie na Lesznie otwarto nowy zakład froeblowski.

— Wydział filozoficzny w uniwersytecie Heidelbergskim podzielono na dwa odrębne: filozoficzno-historyczny i przyrodniczy.

— Nauczyciele ludowi w Galicyi uchwalili wnieść petycyę do sejmu o podwyżkę pieniężną na mieszkanie i zwiększenie płacy starszym nauczycielom.

— Według nowej ustawy dla szkół realnych, w klasie trzeciej wykładana jest historya naturalna i historya Rosyi; przedmiotów tych nie uczyli się wcale uczniowie pozostali w klasie 4-ej na drugi rok. Wskutek zapytań niektórych kuratorów ministeryum oświaty wyjaśniło, że na naukę historyi naturalnej dla uczniów drugorocznych w kl. 4 należy wyznaczyć oddzielną lekcyę dodatkową; elementarny zaś kurs historyi Rosyi uczniowie ci powinni uzupełnić w klasie VI-ej.

— W Warszawskiem Tow. dobr. zawakowały: z zapisu d-ra Katarzyńskiego stypendyum rs. 150 dla studenta wydziału medycznego i zasiłek z zapisu Rapackiej 120 rs. dla rodziny kształcącej dzieci. Prośby przyjmowane będą do 6-go grudnia.

— Siostry Marya i Jadwiga Keller otworzyły w Warszawie nowy zakład wychowawczo-gimnastyczny.

Sprawy kolejowe. Urzędnicy na kolejach Południowo-Zachodnich znowu się uskarżają na niesprawiedliwy podział gratyfikacyj.

— Zatwierdzono już plan kolei z Berdyczowa do Żytomierza, której budowa będzie przyśpieszona.

— Do tutejszych zarządów kolejowych zwróciło się centralne biuro statystyczne dróg niemieckich z prośbą o nadesłanie wiadomości, dotyczących uposażenia urzędników i oficyalistów.

— Na kolejach, gdzie odbywają się większe transporty bydła, ustanowiono dla weterynarzy specyalne wynagrodzenia pieniężne od każdej sztuki chorej lub podejrzanej, wykrytej przy rewizyi.

— Zarząd kolei Warszawsko-Petersburskiej na kupno nowych parowozów do pociągów pośpiesznych przeznaczył 880,000 rs.

— W sprawie nowego połączenia kolejowego Galicyi z Węgrami toczą się obecnie układy między rządami austryackim i węgierskim. Chodzi o budowę linii z Marmoros — Szegetu do Stanisławowa lub Kołomyi. Dla wschodniej części Galicyi kolej ta będzie miała ważne znaczenie ekonomiczne, jako najkrótsze połączenie tych okolic z Wiedniem i Pesztem.

— W dniu 25 października odbyło się posiedzenie akcyonaryuszów kolei Terespolskiej, wywołane zamiarami rządu przeprowadzenia konwersyi obligacyi 5% ty kolei i zmienienia odpowiednio do tego niektórych artykułów ustawy. Zebranie ogólne wyraziło zgodę w zasadzie na konwersyę, przy zastrzeżeniu, aby zmiany nie naruszyły praw akcyonaryuszów, nadanych im ustawą pierwotną.

— W Paryżu zamknięto w tych dniach konferencyę kolejową francusko belgijsko-ruską. Taryfę opracowaną przez urzędników w Berlinie zatwierdzono. Postanowiono wprowadzić bilety okolne między Paryżem, Bruksellą, a stacyami ruskiemi, dające podróżnym możność wyjeżdżania z Rosyi przez inną stacyę graniczną, a powracania przez inną.

Bibliografia. *Kalendarz* księgarsko-literacki, na r. 1891 wydany przez S. Czarnowskiego i G. Centnerszwera, str. 118, Warszawa.

— Aleksander Fajans, *Monomethylorthodioxybenzolcarbonsäuren und deren Derivate*, str. 45. Jest to rozprawa doktoryzacyjna autora, przedstawiona na uniwersytecie w Jenie.

Zmarli. Emilia Puffkowa w Poznaniu. Pisała przeważnie dla młodzieży.

— Aleksander Orsini, pisarz muzyczny w Rzymie.

— Thorold Rogers, prof. ekonomii politycznej, b. poseł do parlamentu w Londynie.

— Malling Hausen, dyrektor Instytutu głuchoniemych w Kopenhadze. Znany ze swych prac nad obliczeniem wzrostu dzieci.

— Dr. v. Marx, prof. chemii na technice sztudgardzkiej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu K. Studium Grawelna nie wyszło w osobnej odbitce, lecz drukowane było w *Neue Fr. Presse* p. t. „Der Mensch als Phonograph."

Pani Tekli D. Niepodobna, ażeby redaktor czytał wszystkie książki i o wszystkich pisał recenzye. Musi on tę pracę powierzać innym, a ich sądom otwierać w swem piśmie kredyt naukowy, moralny i estetyczny. Jeżeli przeto zdanie W. o powieści Sz. wydaje się Pani niesłusznem i jeżeli Pani ma poważne zarzuty, prosimy o replikę, na którą krytyk odpowie.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 19 Октября 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.